



**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 15. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

**Treść Numeru.** Rodzina Griffith opowiadanie historyczne przez Lady Gaskel przekład Joanny Belejowskiej. — Robotnicy, dramat w jednym akcie wierszem E. Manuela, przełożony przez Sewerynę Duchiąską. — Prelekcje Publiczne Fr. Henryka Lewestama — Korespondencja z Wiednia. — Agnieszka Sorel. — Korespondencja ze Lwowa. — Natalja Borysowna Dolgorukowa powieść p. Furanna. — Od Redakcji.

## RODZINA GRIFFITH

### OPOWIADANIE HISTORYCZNE

PRZEZ

LADY GASKEL

przekład Joanny Belejowskiej.

Ktokolwiek zwiedza północną część księstwa Wallji, co krok napotyka wspomnienia i nasłucha się rozlicznych legend o Owene Glendower, tym słynnym bardzie i bohaterze, ulubieńcu miejscowego ludu, który po dziś dzień pamięć jego najgłębszą czcią otacza.

Owene Glendower krewny Lewellyn'a księcia Wallji, urodził się w roku 1348. Będąc zmuszonym opuścić dwór Henryka IV, króla Anglii, szukał schronienia w rodzinnej ziemi, gdzie niezadługo wybrany został naczelnym ich przywódcą i ogłoszony księciem Wallji (1401). Odtąd koleje losu jego bardzo były zmienne, kilka lat świetnem cieszył się powodzeniem, pozyskał w pośród swoich sławę niezwykłego bohatera która zjednała mu nawet pomoc Francji (1404); następnie jednak gwiazda szczęścia jego zaczęła blednąć i gdy nareszcie w roku 1407 został pobity na brzegach Uskul, od tej chwili mroczyl się otaczający go urok, władza i stronictwo jego słabły z dniem każdym, a nareszcie w roku 1415 zginął z ręki mordercy. Jednak pamięć jego żyje w sercach współziomków, którzy po dziś dzień uważają go za uosobiony ideał bohaterskiej odwagi. Jakaż to była radość w całym księstwie Wallji, kiedy lat kilka temu uniwersytet Oxfordzki wyznaczył życie i dzieje Owena Glendower jako temat konkursowy do poezji narodowej.

Szekspir włożył w usta Owena następujące słowa: „W chwili mego urodzenia sklepienie niebios gorzało płomienistymi ciałami.“ „Mogę wywołać duchy z głębi morskich otchłani.“

Malują one wiernie wiarę i przekonanie współczesnych jego, którzy przyznawali mu jakąś nadprzyrodzoną, czarodziejską siłę, w którą lud prosty po dziś dzień wierzy niezachwianie, i pewnie nieznanaby się ani jeden, co by poważył się stawiać mu zachwałę pytanie Hotspur'a.

Ileż to legend i tradycji o tej czarnoksiężkiej potędze Owena, krąży po dziś dzień w rodzinnej jego krainie i rzecz dziwna, niektóre z przypisywanych mu

proroctw, najzupełniej spełniły się w kolei wieków, — jedno z nich właśnie służy za wątek niniejszej, we wszystkich niemal szczegółach prawdziwej powieści.

Podaliśmy wyżej że Owene zginął z ręki mordercy, tu dodać jeszcze musimy, że szczególnie w ostatnim roku jego życia, kilku nasłanych zabójców daremnie probowali zgładzić go ze świata. Do ich rzędu należał Dawid Gam, który postanowił zamordować bohatera wallijskiego w Machynleth, a chcąc być pewniejszym urzeczywistnienia zbrodniczego zamiaru, przekupił jednego z najzauważniejszych, nieodstępnych towarzyszy Glendowera, a ten ujęty wysoką zapłatą, nakłonił się do spełnienia ohydnej zbrodni. Rhys of Griffith był krewnym, przyjacielem i towarzyszem broni Glendowera, który ufał mu nieograniczenie i kochał jak brata, nędznik liczył więc że z łatwością przyjdzie mu zamordować bezbronno wojownika, nie podejrzującego tak nikczemnej zdrady. Ale zbrodnicze te wyrachowania zawiodyły morderców; Glendower ocalony jakby cudem a obaj współnicy dostali się w moc jego.

Szlachetny i wspaniałomyślny udarował życiem i wolnością Dawida Gam, który zawsze dotąd należał do najzaciętszych jego wrogów, ale nie mógł przebaczyć nędznikowi, którego tak braterską ukochał miłością, i od lat dziecinnych nieustannie obsypywał dobrodziejstwami. Rhys of Griffith zaprzedał się jego wrogom, o to więcej jak zbroń, to najochydlniejsza niewdzięczność i zdrada wołająca o pomstę.

Dla takiego nędznika śmierć za małą byłaby karą! Wtrącony do więzienia, stał się łupem strasznych wyrzutów sumienia, w tem skrzypnęły ciężkie drzwi i na progu ukazała się surowa postać Owena Glendower.

„Rhys of Griffith! rzekł on, pragniesz śmierci a ja skazuję cię na życie; i doczekasz niezwykle sędziwego wieku, abys długie, długie lata był zawsze i wszędzie przedmiotem niewymownej pogardy i wstrętu. Wszyscy przeklinać cię i stronić od ciebie będą, i najmniejsze nawet dzieci będą wytykać cię palcami i odwracać się z przerażeniem, wołając: oto nikczemny zaprzaniec, który chciał zamordować brata swego!!! Wzgarda jemu! wzgarda i przekleństwo!... oto słowa jakie nieustannie o uszy twoje obijać się będą. A ty żyć będziesz nieskończenie długo i twe łzami gorzkimi przepalone oczy patrzeć będą na upadek rodu twego, dziesiątkowanego nieustannie mieczem i najstraszniejszymi plagami. I wszyscy twoi będą przeklęci, a domy ich runą i zni-

kną jak śnieg z nadejściem wiosny; i choćby najogromniejsze nagromadzili skarby, majątki ich rozwieją się jak mgła poranna, a gdy dziewięte przejdzie pokolenie, krew twoja nie będzie już płynąć w żyłach żadnego człowieka. I wtedy ostatni męzki potomek twego rodu srogo pomści się za mnie, syn zabije ojca!“

Oto słowa jakie odwieczna tradycja i dzieje kładą w usta Owena Glendower, i dziwna rzecz przekleństwo i proroctwo sprawdziły się w najdrobniejszych szczegółach.

W owiej epoce ród Griffith'ów był bardzo liczny i zamożny, od tej jednak chwili szczęście, jak to mówią, odwróciło się od nich, i jakiegokolwiek wiodli życie, czy to odznaczali się skąpstwem, czy rządnością i zabiegliwością, podupadli coraz gorzej i nigdy nie mogli przyjsć do majątku i dawniej odzyskać świetności. Niejednokrotnie zdarzało się że któryś z Griffith'ów zdołał wielkiego dorobić się mienia, w tem nagłe bez żadnej wyraźnej przyczyny majątek znika jak senne marzenie, i często najstraszniejsza nędza stawała się udziałem posiadacza i potomków jego.

Nareszcie po latach wielu zdawało się że straszne przekleństwo Owena zaczyna tracić moc swoją, przestano prawie myśleć o niem przypominając wtedy tylko, gdy smutny jaki cios lub wypadek dotknął kogoś z rodu Griffith'ów. Z nadejściem ósmego pokolenia, najstarszy z rodu pojął w małżeństwo miss Owen, która skutkiem śmierci brata stała się jedyną dziedziczką znacznego majątku, i młodzi małżonkowie opuściwszy nędzne posiadłości Griffith'ów w Marionesture, przenieśli się do hrabstwa Caernarone i zamieszkali w odziedziczonych dobrach. Spokojni, otoczeni dostatkiem i nieodstępnymi od niego wygodami, zapomnieli o przekleństwie ciężącym od lat tylu na całym ich rodzie, a powoli i ogół zaczął tracić w niego wiarę i powątpiewać o prawdziwości proroctwa.

Z Tremadoo do Krikkaeth, droga wije się około parafialnego kościółka w Juysynauharu, stojącego w błotnistej dolinie ciągnącej się od podnóża gór do zatoki Kardigau. Kotlina ta opuszczona przez morze, jak się zdawało niezbyt jeszcze dawno odznaczała się wówczas nędzną urodzajnością, bechującą zazwyczaj podobne bagniska. Nieco o podal przyroda smutniej się jeszcze przedstawiała; na wierzchołkach gór wznosił się gęsty laszek nędznych i karłowatych sosen; wiele było drzew zupełnie suchych, kora ich opadła na ziemię, a огоłocone pobielające pnie, sterczały jak szkielety i przy słabem, zaledwie ta i owdzie przez liście przedzierającym się świe-



tle, dziwnie przybierały kształty i jakby złowrogie widma ukazywały się oczom przechodnia. Nicco dalej od strony morza, dolina rozciągała się coraz szerzej, nie tracąc jednak swej posępnej barwy; przez większą część roku gęsta mgła całkiem prawie zasłaniała niebo, nigdzie śladu ruchu i życia.

Dolina ta stanowiła znaczną część majątności odziedziczonej przez mistress Griffith, a w górnej części leżał Bodowen, stara siedziba Owenów. Był to budynek czworograniasty, ciężki, nie zbyt ozdobny i po większej części prawie tylko rozmiarem różniący się od zwykłych domów fermierów.

W Bodowen tedy osiedli młodzi małżonkowie i tu urodzili im się dwóch synów: starszy Hewelyn miał zostać spadkobiercą majątku i nazwiska, młodszego zaś Roberta, od lat dziecińczych przeznaczono do stanu duchownego. Dopóki Robert nie został oddany do seminaryum, ta jedynie była różnica w położeniu i wychowaniu obu braci, że wszyscy otaczający pieścili i dogadzali Hewelynowi a Roberta naprzemian pieścili i karali. Stary jakiś duchowny był ich nauczycielem; uważano tedy za rzecz bardzo naturalną, że Hewelyn, przyszły squire i spadkobierca nie chciał się męczyć nauką i uczyć zadanych lekcji, ale za to sir Griffith lajał często Roberta, wyrzucał mu jego lenistwo, powtarzając że powinien się uczyć bo jako młodszy brat nie odziedziczy i sam musi pracować na kawałek chleba.

Tak więc Robert uczył się niby w Oxfordzie, a Hewelyn tymczasem wesoło używał świata, niezadługo jednak skutkiem różnych nadużyć zachorował ciężko, i po kilku tygodniach przeniósł się do wieczności. Śmierć jego wypadła w samą porę, bo właśnie nadchodził czas egzaminu, którego Robert zdać nie był w stanie.

Ponieważ obecnie był jedynakiem a więc dziedziczył cały majątek, rodzice uznali stosownem odwołać go z Oxfordu i pozwolili porzucić nauki, — cóż mu już po nich kiedy nie będzie ubogim? Tak więc niedouczony Robert odtąd stale zamieszkał w Bodowen, a po kilku latach śmierć zabrała mu ojca.

Teraz poznajmy charakter i usposobienie nowego squire'a. Zazwyczaj był on łagodny, obojętny na wszystko, i łatwo dający kierować sobą, ale gdy raz uniósł się złością, wpadał niemal w wściekłość i sam tak lękał się podobnego przystępu gwałtowności, iż nieraz tłumił w sobie gniew nawet najsluszniejszy, z obawy aby nie przebrał w nim miary. Gdyby był gruntownie ukończył nauki, może mógłby się odznaczyć w literaturze wymagającej więcej żywej ognistej wyobraźni niż wytrawnego sądu, w obecnym zaś moralnem i społecznym jego stanowisku, artystyczne i literackie usposobienie objawiało się jedynie zamiłowaniem w nagromadzeniu różnych starożytności i rękopismów galijskich, których pozazdrościłby mu sam doktor Pugh, gdyby był jego współczesnym.

Żadnych nigdy nie używał trunków, i była to główna cecha charakterystyczna, odróżniająca go wybitnie od ludzi jego stanu. Być może iż znając swoje usposobienie, lękał się zbytniego podbudzenia, dość że w kraju gdzie nałóg pijaństwa tak jest upowszechnionym, Robert zawsze był trzeźwym, co wywołało niechęć powszechną. Nie lubiono go w towarzystwach, w których pomimo swoich lat dwudziestu pięciu wyglądał na surowego sędziego i krytyka, co postrzegłszy zamknął się w sobie i żył samotnie w domu i więcej niż dawniej zajmował się nauką i czytaniem.

Pewnego razu zawezwano go jako świadka przed sąd przysięgłych w Kernarwone. Przyjechałszy tam stanął u swego pełnomocnika, człowieka chytrego i wyrachowanego, który nie omieszkiał korzystać z tej okoliczności. Miał on młodą i ładną córkę i tak umiał pokierować rzeczą, iż po kilkunastu dniach pobycia, Robert odjeżdżał zakochany a we dwa miesiące potem zaślubił wybrankę serca i zabrał ze sobą do Bodowen. Młoda kobieta była dobra, łagodna, uległa, uwielbiała swego męża i razem bała go się bardzo, tak jej imponowały poważne księgi, które całemi godzinami czytywał, a których ona nie a nie zrozumieć nie mogła.

W pierwszym zaraz roku pożycia, mistress Griffith została matką ślicznej, biało-różowej dziewczynki, której młodzi małżonkowie dali imię Ogarada. Lat kilka minęło, rozpieszczona jedynaczka chowała się zdrowo i pięknie i już mniemano powszechnie, że Ogarada zostanie dziedziczką rodzicielskiego nazwiska i mienia, gdy nadszpedzowanie mistress Griffith wydała na świat syna, ale życie jego okupika

zdrowiem i po kilku miesiącach zgasał w objęciach zrozpaczonego męża.

Jak powiedzieliśmy wyżej, Robert nie miał przyjaciół, żył dość samotnie, tym silniej więc przywiązał się do kochającej i uległej zony, która całym dlań była światem. To też utrata jej w niewysłowionej pograżała go boleści, rozpacznie przyzywał śmierci, gdy w tem wzrok jego padł na kolebkę osieroconej dziewczyny, i zdało mu się że duch ukochanej zmarłej nakazuje mu żyć i w niej szukać pociechy, — i serce jego, miotane potrzebą kochania nieograniczenie przywiązało się do syna, który jakby pojmując i nagradzając tę miłość ojcowską błagalnie wyciągał ku niemu rączkę, spoglądając czule i uśmiechając się tym anielskim uśmiechem jakim dzieci zazwyczaj matki tylko obdarzają.

W krótko matki Owen stał się samowładnym panem domu, ojciec męgił nadzwyczajnym jego zachowaniem, i sama nawet młodziutka, całkiem prawie zapomniana Ogarada, prawdziwie macierzyńską ukochała go miłością. Lata mijały a młody Owen nigdy na krok nie opuszczał ojca; w domu czy za domem zawsze byli razem, a dziwny ten rodzaj życia był jak najniestosowniejszym dla kilkoletniego chłopczyka. Dzieci w tym wieku powinny widzieć w okolo siebie pogodne spojrzenia i uśmiechnięte twarze, słyszeć dzwignę głosiki i radośne okrzyki rówieśników, a biedny Owen patrzył tylko na smutną i zamyśloną siostrę i przesiadywał z ojcem w posępnym jego gabinecie pełnym ulubionych zabytków starożytnych, lub też towarzyszył mu na polowaniach, albo nareszcie przechadzali się po posępnej okolicy, lub na stronie wdzierali się wzgórze.

Jeżeli wartki jaki i bystry strumyk, którego Owen przeskoczył nie mógł zagradzać im drogę, Robert brał go na ręce i na drogą przenosił stronę, jeżeli się zmęczył przechadzką, ojciec piastował go na ręku i uspiętego odnosił do domu. Razem obiadowali i wieczerali, czuwając często do późnej nocy. Szczęściem dziwnie to wychowanie nie zniweczyło dobrych z natury skłonności Owena, ale stał się ponurym, młoczącym, czuł się nieszcześliwym, twarz przybrała niewłaściwy wiekowi wyraz zamyślenia, a zaniepokojenie się w poważnych ojca zajmujących naukach, rozwijało jakoś chorobliwie młodziutką jego inteligencję.

Sir Robert Griffith znał przekleństwo i przepowiednię Owena Glendower, wiedział także iż właśnie w jego pokoleniu spełnić się miała; w gronie znajomych sztychł z niej i żartował, ale w głębi duszy trapił się i bolewał. Bujna, rozgorączkowana wyobraźnia usposobiła go do wierzenia w cudowność, a nie miał dość siły moralnej aby pokonać tę wrodzoną skłonność i odegnąć przykre, coraz silniej władające nim myśli. Często wpaływał się w syna miłością palającym wzrokiem, jak gdyby tem niemem pytaniem chciał z oczu jego wyczytać odpowiedź, aż w końcu legenda ogarnęła całą jego istotę, sprawiając boleść tak straszną, że nie mógł już zamknąć jej w sobie. Zresztą namiętne jego przywiązanie do Owena, domagało się więcej wylania niż czułości, i znajdował jakąś dziwną, z obawą połączoną rozkosz, mogąc wyrzucić ukochanemu synowi, przerażenie i boleść jakie budziła w duszy jego tak straszną przepowiednię. Raz tedy gdy posępny wieczór jeśnienny, błakał się z synem bez celu w pośród gęstych zarośli, opowiedział chłopczyźnie straszną, rodu ich dotyczącą legendę a w kilka dni później powtórzył mu ją w swoim wielkim, czarnym dębem wyłożonym pokoju, zapelnionym różnemi tajemniczymi starożytnościami, które przy niepewnym świetle ogniska, najdziwniejsze przybierały kształty.

Owen drżał z przerażenia, słuchając słów ojca, i jakby pragnąc nasycić się głębokim wrazeniem jakie nań wywierało, domagał się powtórzenia strasnej legendy, a sir Griffith znowu zaczynał ją rozprowadzać, obsypując syna pieszczotami i dopytując się czy bardzo kocha ojca który żył tylko dla niego? Chłopczyzna odpowiedział z uczuciem tuląc się do ojca, ale ten nie raz odrzucał go gwałtownie, wołając z niewysłowioną goryczą. „Precz! precz! czyż nie wiesz co nas czeka? Czyż nie wiesz na czem się to wszystko skończy?”

Lata mijały; Ogarada rozpoczęła osmnasty a Owen dwunasty rok życia; wtedy pleban miejscowy, jedyny przyjaciel Roberta, zaczął przekładać mu jak szkodliwym może stać się dla Owena podobny rodzaj wychowania i życia, i po długich namowach zdołał nareszcie nakłonić go, aby syna oddał do szkół. Rozłączenie z synem było nadzwyczaj boleśnem dla Roberta,

ta, ale troskliwość o jego dobro przemogła i nareszcie postanowił umieścić go w tak zwaną szkołę gramatykalną, w Baugor, której przewodniczył wówczas znakomity humanista. Młody Owen zaczął pilnie przykładać się do nauk i prędko znaczne uczył postępy, odznaczając się szczególnie w oddziale języków starożytnych, które wybornie wykładał; nie był jednak lubionym od współuczni pomimo całej swej szlachetności i bezinteresowności, ponieważ odziedziczona po ojcu dzika ponurość i gwałtowność charakteru, niweczyła współczucie jakie wywoływała z początku zwykła jego słodycz i łagodność.

Kiedy po upływie roku szkolnego przyjechał do domu na wakacje, nie mógł wyjść z podziwienia dowiedziawszy się, że siostra jego Ogarada, tak podrzędne dotąd w domu zajmująca stanowisko, miała wyjść za mąż za jakiegoś obywatela z okolic Aberystwith. Teraz dopiero żywo uprzytomnił sobie w pamięci całą przeszłość i dziecięce lata swoje; przypomniał sobie dobroć i nieograniczone poświęcenie siostry, pojął jak dotkliwie da mu się uczuć brak jej troskliwej opieki, a wiedziony samolubnym żalem, nie zastanowił się jak boleśnie dotyka ojca, powtarzając nieustannie:

— O mój Boże! co my pocniemy gdy Ogarada nas opuści? Jakże okropnie będziem się nudzić, a dom i tak posępny, w głuchą zamieni się pustkę.

I pod tym względem Robert nie mylił się wcale; — zaledwie młodzi małżonkowie opuścili Bodowen, nie tylko on ale i sir Griffith co chwila żywo uczuwał jej nieobecność. Ogarada dobra, łagodna, pełna poświęcenia i zupełnego zaparcia siebie, była duszą i opiekuńczym aniołem domowego ogniska; tak umiała wszystko urządzać, tak troskliwie czuwała nad wygodami ojca i brata, iż teraz dopiero postrzegali jak trudno im będzie żyć bez niej. Beład i chaos zajęły miejsce porządku i cichego spokoju; służba biegła z kąta w kąt nie wiedząc co robić i kogo pytać o rozkazy, meble stały porozstawiane bezładnie; kwiaty i bukiety nie rozjaśniały ponurych pokoi, ogień nawet posępnie jakoś palił się na kominach i gasł pośród popiołu. Wszystko to było powodem, iż Robert niecierpliwie niemal wyglądał końca wakacji, chętnie wracał do Baugor, i nie chciał czy nie umiał ukryć tego przed ojcem równie jak on samolubnym, czem dotkliwie zadrasnął jego miłość własną, a tem samem ostudził tak wyłączone dotąd przywiązanie, jakim go otaczał sir Griffith.

W owym czasie listy były rzadkością i dla tego Robert zazwyczaj jeden tylko list odbierał od ojca w pierwszym półroczu szkolnem, w drugim półroczu ojciec przyjeżdżał go odwiedzić. Tym razem rok upływał a on daremnie czekał listu albo odwiedzin, i dopiero przed samym wyjazdem na wakacje odebrał list zwiastujący mu, że ojciec powtórnie się ożenił.

Przeczytawszy ten list Robert wściekłym uniósł się gniewem, miotając się i rzucał tem gwałtowniej że nie podobna już było odrobnie tego co się stało. Dotąd przekonany był i słusznie, iż zajmował pierwsze miejsce w sercu i umyśle ojca, dziś nienawistny ten związek, względem którego nie raczono nawet zasięgnąć jego rady, stawiał jakąś obcą osobę między nim a ojcem, aż nadto znieważał pamięć jego nieodzwołanej matki. I jak późno dowiadywał się o nim... mnięć więc okazywano mu względności niż komus obcemu....

Sir Griffith wiedział dobrze że należało mu wcześniej zawiadomić syna o postanowieniu, które tak silnie miało wpływać na całą jego przyszłość, i może właśnie to poczucie się do winy było powodem, że napisał list bardzo krótki i lakoniczny, który wydawał się Robertowi nazbyt oschłym i zimnym, budząc naprzemian w jego sercu gorzką boleść lub dzikie porwy gniewu.

Z nadejściem wakacji, przyjechał do Bodowen, poznawszy macochę ośniony został jej pięknoscią i wdziękiem. Biedny chłopiec dotąd zupełnie nie znał świata i ludzi, nie bywał nigdzie wyjąwszy u kilku lubowników starożytności, których dawniej odwiedzał niekiedy z ojcem, i nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się spotkać równie powabnej i ujmującej kobiety. Mistress Griffith była już wdową idąc za ojca Roberta, miała lat około trzydziestu a jej wdzięki jaśniały w pełni rozwoju, cała jej postać, wszystkie ruchy nacechowane były czarującym jakimś urokiem. Głos dzwigny i łagodny, niewysłowiona słodycz spojrzenia rozbroiły zagniewanego młodzieńca uczul jednak żywiej niż kiedykolwiek, jak silną była zaporą oddzielająca go od ojca, który zapewne nigdy nie przebaczy mu



listu napisanego w odpowiedzi na zawiadomienie go o powtórnej małżeństwie. Odtąd myślał sobie, ojciec całkiem żyć będzie dla swój pięknej żony odbierze mu niezwrotnie swą ufność i miłość, i on, tak dawniej ukochany, całkiem nareszcie z serca rodzicielskiego wyparty zostanie.

Co do macochy ta była dla niego prawie do przesady uprzedzającą i nadskakującą, zdawało się że pragnie zadawać wszelkie jego życzenia. Czuł jednak instynktowo że serce w tem wszystkim żadnego nie ma udziału, a na domiar kilkakrotnie dostrzegł w jej oczach wyraz nakazujący, nie ufać pochlebstwom i uprzedzeniom, jakimi go nieustannie obsypywano.

(d. c. n.)

## ROBOTNICY

DRAMAT W JEDNYM AKCIE WIERSZEM

E. MANUELA.

przełożony przez Sewerynę Duchinską.

Dokończenie.

Morin (błagając.)

Dość już nieszczęśliwa!

Joanna.

Muszę skończyć... ztąd jeszcze sączy się krew żywa, Lat dwadzieścia mój krwawej nie zgoiło rany. Tryśnie prawda z tej piersi boleścią wozbraną.

Morin (z postanowieniem do Marceliego).

Ja sam dopowiem resztę, bo serce mi pęka Pod wyrzutu ciężarem... bo straszna tu męka Trwa i trwa — istne piekło! stoi mi przed okiem Ta noc czarna, okropna! pomnę drżącym krokiem Przywlokłem się do domu — ułoneła mi głowa, Za progiem belkotalem grubijańskie słowa, Nie mogłem drzwi domaćać... o mało nie padłem, Otworzyła mi matka z obliczem wybladłem Istny trup... widzę jeszcze... trzyma świecę w dłoni... Byłem wesół... ze śmiechem przybliżyłem się do niej!.. O! musiałem być straszny!..

(wskazując Joannę).

Widzę jak się szamoce zsiniała i drżąca, Od słowa rychło przyszło do kłótni zaciętej, Jam ryczał, oh! bo pijak równa się z bydlętą! Pomnę z ust jej wyrzuty sypnęły się gradem, Rumieniec gorączkowy błysk na licu bladym... Jój skarga w me sumienie przetyłem uderza! Z bydlęciami w drapieżnego przemienieniem się zwierza, Gniew wściekły mnie ogarnął... z ust piana się toczy... Miotam się jak szaleniec... w tem nóż błysk mi w oczy... Chwytałem go... i po dwakroć godzę w piersi..

Marceli. (biegnąc do matki).

Więc on w ciebie ugodził, w ciebie matko droga? Na Boga (do Morina).

Tys to zrobił!

(na znak Morina pochyła głowę z boleścią).

Morin.

Jam jeszcze postąpił niegodniej, Zbiegłem jak tchórz... ha! trwoga tuż stoi przy zbrodni!

A jednakże w poranku pchnięty dziwnym szalem, Pod progiem mego domu nagle się ujrzałem, Wieść przemkła już nad miastem lotem błyskawicy, Gdym jak widmo grobowe krążył po ulicy... Słyszę, jak ludzie szepczą wskazując me progi, „Tu umarła kobieta“ — głos tłumu złowrogi Gromem spadł mi na duszę, wskroś rozdarł mi serce... Uciekłem, wprzód nim kara dosięgła mordercę!

Marceli.

Nieszczęsny!

Joanna.

Wyznał prawdę, nie nie przepomina!

Morin (przygnębiony).

Co? jam mógł razem z matką zamordować syna!?

Joanna (biorąc syna za rękę).

Oboje oni żyją — znać zrządzenie Boże! W szpitalu mnie jak trupa rzucono na łożo.. Kiedym przyszła do życia z raną w piersi krwawą, Sąd słuchał moich zeznań.. tak żądało prawo. Ucieczka potępieniem twem była surowem!

(powstaje i wychodzi na środek sceny).

Mogłam cię nikiemniku zgubić jednym słowem, Twoją zbrodnię przed sądem mogłam wyznać śmiało, Już mi serce dla ciebie w piersi skamieniało.. Dość mi usta otworzyć... zbrodnia dowiedziona.. Lecz mi to biedną dziecię drgnęło w głębi łona! Ono mnie przebłagało pierwszym życia tętmem Za ojca! miałoż na świat przyjść z ohydy piętnem? Gdy sędzia wzrok badawczy utkwiał mi w oblicze, Skłamałam... tych wykretów już dziś nie policzę Którmi zamąciłam ten wywód sądowy I karę od przestępną odwróciłam głowę!

(Morin siada na lewo przygnębiony).

Marceli.

Tys go więc zasłoniła przed hańbą i karą Twem sercem bohaterskim — ty biedna ofiario?

Morin.

Straszno mi przed oczyma stoi zbrodnia cała! Jam ją miał za przepadłą! ona tylko spała!..

Joanna.

Wyzdrowiałam... i przyszedł czas, gdy u nędzarzy Między biedą a wstydem los ciężko się waży!..

Morin (cichy).

Wstydem!

Joanna

Wtedy poznałam ogrom twojej winy. Nieraz to w straszne nocy bezsennych godziny Stojąc po nad przepaścią, wśród pokus bez liku, Z rozpaczą przeklinałam twe imię nędzniku.

(Morin wdryga się).

I teraz gdy cię widzę gniew mnie jeszcze miota. Bez wsparcia, bez opieki zostałam sierota Z sercem niedoświadczonem do walki zbyt młodem, A wiesz ty co to wiecznie szamotać się z głodem? Z tęsknotą, gdy cię w sidła osnuła zdradziecko? Jedynem tylko wsparciem było mi to dziecko; W kołysce jego dla mnie tarcza i otucha, A wiesz co mi to dziecko szeptało do ucha? „Nie trwoż się biedna matko ja czuwam przy tobie!“ Rzuciłam własne strony, i w serca żalobie Zabrałam się do pracy by wyżywić syna.

(wskazując Marceliego).

Odtąd nowe dni pasmo dla mnie się zaczyna. Tak Marceli, przy tobie, pokryta twą tarczą Wzięłam za cel — o ile słabe siły starczą, W twoje serce, w twój umysł, władz prawdy zdroj żywy, Abyś życiem bez skazy poczczył włos mój siwy! Wiesz wszystko... teraz ojca powołajże dziecię!

Marceli (powstając).

Ojcie!

Joanna.

Śmiało Marceli! nie wahasz się przecie?

Morin (powstając głosem błagalnym).

Mój synu!

Joanna (porywając syna za rękę).

Mów Marceli, twoja dusza dzielna!

Marceli (wydziera się matce i łkając siada na krześle w głębi sceny).

Zostawcie mnie oboje! to walka śmiertelna!

Morin.

Prawda, byłem bydlęciem starzanem w kałuży, Lecz w tym duchu upadku nie mogłem trwać dłużej. Jam żył... włos mi pobielał... czas że nie nie ściera?

(do Joanny wskazując Marceliego).

On dobrze wie że inny niż był... prawda szczerą! Inne czasy, jam życiem odrodził się nowem.

Joanna (przerwywając).

Co? chciałbyś przy ognisku zasiąść tu domowem? Chciałbyś na równi ze mną stanąć w obec syna? Wczołgać się w czyste progi jak nędzna gadzina, I pijanej rozpusty zabluzgać je błotem!

(Marceli wstaje).

Morin.

O, już tego za wiele!... zapomniałaś o tem, Iż gwałtem się w domowe nie wdierałem progi,

Jam was przecie nie szukał... Lecz skorom wśród drogi

Znalazł żonę i dziecko, miałbym niedbale Porzucić taką zdobycz?

(uderzając gwałtownie w stół).

Nie rzucę jej wcale!

Jestem w własnej rodzinie... w obec takiej wzgardy Dopomnę się praw moich, będę jak głaz twardy!

Joanna (rzucając się w objęcia Marceliego).

O, poznając cię teraz, poznając...

Morin.

Być może,

Lecz wrócę do praw moich... tak... już ich nie złożę. Mój dom tu!... czy słyszycie?... choć syna!..

Joanna (przestraszona tuli się do Marceliego).

Marceli (osłaniając matkę od Morina).

Nie pani!

do Matki)

Matko nie drżj, to ramię za tarczą ci stanie! (do Morina)

Tak! matka moja wdowa... jam sierotą jeszcze... Wśród nas stoi widmo przeszłości złowieszczel! Ona zna cię jedynie z dwuletniego sromu W którym tys sponiewierał święty próg jej domu! Z tych łez w dwudziestoletniej wylanych goryczy, Nie tobie zda rachunek... sam Bóg je policzy! Co do mnie znam powinność. (wskazuje matkę)

Jój rady mię strzegą,

Dość mi spojrzeć w jej oczy bym uniknął złego, Jój to błogosławione ręce mnie niańczyły, Ona cichą ofiarą, trudami nad siły Chroniła mnie od głodu... o matko ty święta! Gdy wspomnę jak ty przeszłaś skazą niedotkniętą Koleczystą życia drogę, niezłomna w boleści; Wielbię hart bohaterski twój woli niewieściej. Gdyby nie twoje święte macierzyńskie skrzydła, I mnieby też porwała ta powódź obrzydła, Co tłum dziatek w uliczne pograżała błoto, Gdybyś ty nie czuwała nad biednym sierotą Byłbym jak te włóczgi co rosną, by z laty Nieczystem piersi tchnieniem rdzewić więzień kraty!

(do Morina).

Twój przykład byłby na te wprowadził mię drogę. Chciałbym wszystko przepomnieć... daremno... nie mogę!

Jam wzrosł pod dobroczynnym cieniem jój opieki, Byłeś dla mnie umarłym... zostań nim na wieki!

Morin.

Joanno, każ mu milczeć... skończmy raz to piekło! (uderza ręką w pierś).

W okup za twoją ranę dość ztąd krwi pociekło! Masz słusność... mnie z tych progów oddalić się raczej,

Skoro żal mój niewczesny nie u was nie znaczy. Precz ztąd nędzny zbrodniarzu! precz starcze szalony! Tu przeczą tobie nawet prawa do obrony! Przed chwilą tu człowiekiem byłem jakich mało, Twój syn rad moją głowę uczył posiwiata. Byłem przezacną duszą, opiekunem z nieba. Nazywano mnie zbawcą, ba! i czegoż trzeba? W tem wiatr zawiął, z przeszłości odkryła się karta W niwecz wszystko!... cześć że mnie do nitki odarta? Nikt nie spytał zkad idzie ten pocziwy człowiek? Ile mu łez palących wybiegło z pod powiek? Jakie brzemię wyrzutów nagięło mu bary? Jakim wysiłkiem ducha, jakimi ofiary On wywalczył u świata zacne stanowisko? Jak zdołał cześć odzyskać upadły tak nizko? Jakim ogniem wypalił ohydny trąd z serca? Jaką siłą ten pijak, ten gbur, ten morderca Odzyskał zacność duszy. myśl krzepką i zdrową!

Marceli.

Ależ...

Morin (spokojnie).

Milcz nie przerywaj. Tę prawdę surową Z ust ja dwudziestoletnich rad słyszę i cenię. W obec zbrodni, młodzieńcze wdryga się sumienie. Ty hardo wznosisz głowę boś uniknął zguby. Nigdyś jak ja z twardemi nie łamał się próby, Matka wsiewała prawdę w twoją duszę prostą. Moja matka mnie z domu wyganiała chłostą, Zbiegałem ja radośnie za te zimne progi! Nikt nigdy mi do szkoły nie pokazał drogi, Przetarzałem w rynsztokach całą młodość moją Aż karczmą pierwszą dla mnie stała się ostoją. Młodzieńcze! droga cnoty nie łatwa, ślizka! Ty nie wiesz co to znaczy wyrość bez ogniska,



Co to sypiać na bruku z kamieniem pod głową,  
Wciąż słyszeć obelżywe z ust przechodnia słowo,  
I pytać gdy wnętrzości głód pali i nęka,  
Czy się gwałtu w noc czarną nie dopuści ręka!  
Z takiemi ja to próby daniem się w zapasy!  
Wam szczęśliwym tak twardo nie walczyć w te czasy!  
I czemuż jam nie runął w tę przepaść głęboką?  
Mogłem spaść jeszcze niżej!... czyż bratnie oko  
Ostrzegło mnie o zgubie?... Ha! iskierka mała  
W sumieniu pod popiołem słabo jeszcze tłała,  
Jam rozdmuchał ją w płomień, przy tej to pochodni  
Jam się sam w obec Boga wykupił z mój zbrodni!

*Marceli* (zrywa się jakby chciał przystąpić do ojca).  
Ale czara pokuty nie spełniona do dua.  
Joanno, żegnam ciebie! ty żyj tu swobodna.  
Przeżyłem sam tak długo. Ha! niechże za karę  
Sam dowlokę do grobu moje kości stare.  
Jam niegodzien z tą plamą niestartą na czole,  
Umrzeć poczeiwą śmiercią w mój rodziny kole.

(Chce odejść, opiera się o stół gwałtownie poruszony.  
Joanna osuwa się na krzesło przy kominie. *Marceli*  
stoi przed nią.)

*Marceli* (patrzając w oczy matki blagającym wzrokiem).  
Matko, jam pokonany, już nie wytrwam dłużej.

*Joanna*.

*Marceli!*

*Marceli*.

W mojej piersi wszystka krew się burzy  
Czas otoczyć opieką to życie tułacze  
My okrutni... bez serca... patrz matko, on płacze!  
(W chwili gdy się zwraca do Morina, Helena wbiega  
rozpromieniona).

### Scena VIII.

*Morin, Joanna, Marceli, Helena.*

*Helena* (wesolo).

I cóż, skończona rada? (zatrzymuje się zdumiona).

*Morin* (przystępując do niej).

*Helena!*

*Marceli* (do Morina).

Na Boga!

Nie mów nic!

*Helena*.

Cóż się stało?

*Morin* (biorąc ją za rękę).

Chodź Helenko droga!

*Helena*.

Mów ojczel!... co tu zaszło?... spojrzij na mnie przeciel.  
(patrzy na niego badawczo).

*Morin*.

Trzeba nam się oddalić.. Chodźmy biedne dziecię!

*Helena*.

Oddalić?

*Morin*.

Tak w tej chwili... w niwecz twe zamiary.  
Idźmy!... Zmysły się płaczą w mojej głowie starzej.

*Helena* (do Marceliego).

Jakto?... mówże Marceli!

*Marceli*.

Checiałbym!... och, nie mogę!

*Morin* (żywo).

Jam wygnany z tych progów... wyklęty... czas w drogę...

*Marceli* (do Heleny).

Nie wierz mi!

*Helena*.

Tyś niebaczną znieważył go mową?  
On tak zacny! szlachetny!

*Morin* (ściskając ją w objęciu).

Dziecię wyrzecz słowo!

Powiedz że mnie ich kłątwa niesłusznie dotyka,  
Mów, że ja nie zasłużyłem na imię nędznika,  
Powiedz, że święta iskra w mojej piersi płonie,  
Żem to drobne piskłę tu ogrzałem na mem łonie,  
Powiedz, że nie rozbójnik, nie krwawy morderca,  
Żem był ojcem dla ciebie... ojcem pełnym serca!

*Helena*.

O tak! tyś dobrym ojcem! czyż dowodów mało?  
Lecz błagam was na Boga, mówcie — co się stało?

*Marceli* nie zwłócz dłużej, wszystko wiedzieć muszę!  
Wyrządzona mu krzywda i mnie rani w duszę!  
Ty mi nie odpowiadasz?

*Marceli* (zasłania oczy).

Co ja cierpię, Boże!

*Helena*.

Milczysz? (do Joanny)

Matko, ty prędzej objaśnisz mi może!

*Morin*.

Precz z tych miejsc!... bo tu kłątwa cięży mi zło-  
wroga.

Chodź córko!

*Marceli* (żywo).

Co! i ona?

*Morin* (po chwili milczenia).

Ty dziewczeczko droga

Możesz zostać w tym domu.

*Helena*.

Bez ciebie?

*Morin*.

Tak, z niemi.

Czyż jak ci serce każe... nim odpocznę w ziemi,  
Kędykolwiek tułaczę kroki mię powiodą,  
Twoje szczęście jedyną będzie mi oślodą.  
Zostań, tu ciebie miłość opieką zasłoni  
Ale o starym ojcu zapomnij jak oni!  
(głosem rzewnym i coraz słabszym).  
Mnie w żalobie domotać watek dni stargany.  
Żegnam cię!... Ty urokiem rozpromień te ściany!

*Helena* (biorąc go za rękę).

Ja pójdę ojczel z tobą!

*Marceli* (z ropacją).

O matko! litości!

*Morin*.

Chodźmy!

*Helena*.

Ojczel! co tobie? drży, skrzępiły do kości.

*Marceli* (przysuwa mu krzesło i bierze za rękę).

Ledwie stoi na nogach!... jak lód zimna ręka!

*Morin* (padając na krzesło).

Ja tego nie przeżyję!.. oh! serce mi pęka!...

(traci przytomność).

*Helena*.

Ha! wyście go zabili.

*Joanna* (po głuchem milczeniu zrywa się nagle i biegnie  
do Morina z okrzykiem).

Nie!.. nie!.. oh! drzę z trwogi!...

*Marceli* (z rozpacją do matki).

Biada nam gdyby umarł!

*Helena* (zdziwiona).

Wam że on tak drogi?

*Joanna* (wzruszona gwałtownie).

To mój mąż!

*Marceli*.

To mój ojczel!

*Helena*.

On?

*Marceli*.

Przekłeta pycha!

Matko Bóg nas ukarał!

*Helena* (klekając przy Morinie, do Marceliego).

Słyszysz? on oddycha!...

*Marceli* (pochylony).

Tak... on żyje...

*Morin* (otwierając oczy)

O Boże!.. co się ze mną stało?...

Głowa pała mi ogniem... w oczach mi ściemniało..

(sposzrzegając Helenę).

A to ty?... gdzie jesteście?... czy mię zmysły mylą?...  
Czym ja spałem... tak, pamiętam... byłem tu przed  
chwilą.

*Marceli* (klekając).

Przebacz! jam cię obraziłem... ciężka moja wina!...

O! mój ojczel!

*Morin* (ściskając go).

Mój synu!.. a więc ja mam syna?

*Marceli* (przyciągając matkę do Morina).

Spiesz matko!.. Bóg cię woła!...

*Helena*.

Chodź, matko!

*Marceli* (widząc poruszenie matki).

O! dzięki!

*Morin* (z pokorą).

Joanno!

*Joanna* (zbliżając się do niego)

Drogi mężu, nie odtrąć tej ręki,  
Jam to była okrutna, przebacz w imię Boże!

*Helena* (wesolo).

Tak, już nas żadna siła rozłączyć nie może!  
Będziem wszyscy szczęśliwi!

(*Morin* spuszcza głowę i przyciska ręce do czola).

*Marceli* (patrzając na niego z uczuciem).

O! niech cię popieszczę!

Słodki uśmiech twe usta rozpromieni jeszcze! (1)

KONIEC.

<sup>1)</sup> Dramat ten w krótko przedstawiony będzie na scenie teatru warszawskiego, a główną rolę w nim przyjął p. Jan Królikowski.

## PRELEKCJE PUBLICZNE

F. R. HENRYKA LEWESTAMA.

(Dokończenie.)

Pomiędzy *Mizantropem* Molière'a, a jego *Tartuffem*, ostatnią z wielkich charakterystycznych komedii poety, ukazał się *Skąpiec* (l' Avare). Nie uważa to bynajmniej niespożytej wartości tego utworu, że główna jego treść poczerpnięta jest z rzymskiego komedyopisarza Plauta. Molière w planie ogólnym i w szczegółach takie poczynił modyfikacje i zmiany, że wyrosło zńąd dzieło zupełnie nowe i nierównie wyższego znaczenia, niż utwór łacińskiego poety. Niektórzy krytycy, mianowicie Schlegel, zarzucali *Skąpcowi* francuzkiego autora, że charakter główny nie dosyć jest opracowany, że Molière skupił niejako w nowym *Harpagonie* wszystkie rodzaje sknerstwa, że zamiast przedstawić głębokie studium strasznej tej namiętności, obraz w dramatycznych swoich efektach przejmujący do wnętrza, ograniczył się raczej na skreśleniu scen zabawnych i dowcipnego portretu. Byli nawet między samemi Francuzami i tacy krytycy, którzy żalowali, że Molière nie zrobił *Harpagona* takim typem, jakim jest np. ojciec Grandet Balzaka. Zarzut to w samej rzeczy godny naszej epoki, która przedewszystkiem cechuje się tem, że i mięsza i gmatwa pomiędzy sobą wszystkie rodzaje literackie. Molière jednak, nie przywykły do przekraczania granic swęj sztuki, której obszar uważał dla siebie dość wielkim, Molière chciał pozostać wiernym charakterowi komedii, — a gdyby był uczynił inaczej, popadłby w dramat. Czyliż zresztą słusznie można zarzucić, że Molière dostatecznie nie zgłębił charakteru *Harpagona* i że nie wy dobył zeń dosęć p rzejmujących efektów? Pod tym względem dosyć będzie przypomnieć scenę, w której *Harpagon*, zgodziwszy się wypożyczyć jakiemuś młodemu utracyuszowi 15000 franków, z których jednakże tylko 12000 gotówką, a 3000 w starych gratach nikomu na nic nie przydatnych, poznaje w tym utracyuszu własnego syna Kleanta. Jakto? woła:

To ty, podłą pożyczką chcesz majątek stracić?

*Kleant*.

To ty, ojczel, chcesz podłą lichwą się bogacić?

*Harpagon*.

Śmiesz-że mi się pokazać z zuchwalstwem zbrodniczem?

*Kleant*.

Smiesz się, ojczel, pokazać przed światem obliczem?

*Harpagon*.

Powiedz-że mi, szubrawcze, niegodnemi usty:  
Nie masz wstydu, na takie wylać się rozpusty?  
Wpadać w tak straszne długi i w przepaść wydatków,  
By rozproszyć sromotnie tych trochę dostatków,  
Którym zebrał przez pracę, znoje i pot krwawy?



## Kleant.

Nie wstyd-że ci, mój ojciec, tak niecnie sprawy  
Hańbić swój stan i imię, i bez względu na nic  
Poświęcać honor, sławę, chciwości bez granic?  
Zbijając dukat na dukat brzydkimi wykrety?  
Krew bliźnich niegodnie wysysać procenty?  
Chwytać się sztuk, o których, żeby zedrzyć kogo,  
Najstynniejsi lichwiarze ledwie myśleć mogą?

## Harpagon.

Idź z mych oczów, hultaju! idź z mych oczów!

## Kleant.

Któż, ojciec zasługuje na większą ohydę,  
Czy ten, co te warunki z zimną krwią uknował,  
By pożerał pieniądze i bliźnich mordował,  
Czy ten, co z konieczności: gdy go nędza ciśnie,  
Pod jego nóż swe gardło dać musi rozmyślnie?

Albo rozpaczliwy monolog skąpca w VII scenie 4  
aktu, kiedy mu skradziono szkatułkę:

Gwałtu! złodziej! rozbójnik! a! zbójca przeklęty!  
Wielki Boże! zginąłem! zabity! zarzućmy!  
Któs mi ukradł pieniądze! któs mi urwał szyję!  
Kto taki? gdzie się podział? gdzie jest? gdzie się kryje?  
Jak go znaleźć? gdzie pobiedz? gdzie nie biedz? nie-  
stety!

Tam się schował, czy tutaj? kto to?.. czy to nie ty?  
Ach! tuś mi! Stój! oddaj mi pieniądze!  
Aha! to ja! Zwaryowałem! Biegam—latam—błądę!  
Sam nie wiem, gdzie ja jestem, kto jestem, co robię!  
Biedne moje pieniądze! rady nie dam sobie!  
Biedne moje pieniądze! biedna ma szkatułko!  
Rozłączono mnie z tobą, luba przyjaciółko!  
Nie ma ciebie! bez ciebie nie mi tu niemiło!  
Wszystko dla mnie na świecie, wszystko się skoń-  
czyło!

Z tobą stracił podpórę i mój spokój złoty,  
Szczęście, radość, wesele, pociechę, pieszczoty!  
Nie mogę żyć.. już po mnie... ginę z ciężkiej rany...  
Umieram... jużem umarł... jużem zakopany...!  
Nikt-że nie chce mnie wskrzesić i wrócić mi życie,  
Wracając mi pieniądze? he? co wy mówicie?  
Nikt nie chce..! złodziej pewnie tym bezczynnym czynem  
Dopiął swego, gdy gadał z moim zdrajcą synem!  
Czekaj, lotrze! polecę.. wnet się sąd rozpocznie,  
Ja śledztwo wyprowadzić tu każę niezwłocznie  
Z moich sług, syna, córki i samego siebie...  
Co tu ludzi! a nikt mnie nie wesprze w potrzebie!  
Na kogo tylko spojrzę, widzę w nim złodzieja...  
He? o czym tam gadają? o nim?.. jest nadzieja?  
Cyt! — słyszę jakiś szelest... to pewnie mój złodziej!  
Ach, dajcie mi go, proszę!.. Pan Bóg wam nagrodzi,  
Może on między wami?.. o, serca nieczułe!  
Śmieją się!.. oni wszyscy skradli mi szkatułkę!..  
Nuż! przedź! sędziów, turmy, więzienia, ciemnicy,  
Oprawców, katów, tortur, stryczków, szubienicy!  
Jeśli straty nie znajdę, strząśnij całą rzeszę,  
Wszystkich każę wywieszać i sam się powieszę!

Wszystkie te i mnóstwo podobnych im rysów ma-  
lują z zadziwiającą naturalnością i siłą ową postać  
Harpagona, niespokojną, surową, chciwą aż do naj-  
nikczemniejszego spodlenia, samolubną aż do dziko-  
ści. Harpagon Molière jest zarazem lichwiarzem  
i sknerą, skąpym i chciwym — a właśnie dwa te  
objawy jednej z najbrudniejszych namiętności serca  
ludzkiego, wprowadzie niekoniecznie zawsze idące w  
parze, ale bynajmniej też zobopólnie się nie wyłącza-  
jące, nasunęły pocie owe tysiączne szczegóły, które,  
ze wszystkich stron brane, w jedną spójną łączą się  
całość. Sama intryga dzielnie podtrzymuje moż-  
ność uwydatnienia tych szczegółów; Harpagon jest  
rywalem własnego syna, a córkę chce wydać za bo-  
gatego starca; ona te przecież zamiary pełzną na ni-  
czem, bo i córka Eliza dobrała sobie według serca  
innego, i Maryanna nad ojca przekłada syna jego,  
Kleanta, tak iż stary, w końcu odzyskawszy swój  
skarb wykradzony, już się tym zadawała, że Anzelm,  
nowo odkryty ojciec Maryanny, zarazem ojciec Wa-  
lerego, kochanka Elizy, ten sam Anzelm, który wła-  
śnie do ręki jej pretendował, bierze na siebie wypra-  
wy, posagi, nawet kosztą obu obchodów weselnych.

Ostatnią z rzędu wielkich komedij charaktery-  
stycznych Molière, jest *Tartuffe*, ostatnią przynaj-  
mniej w kolei, w jakiej były przedstawiane na scenie,  
bo utwór ten już od lat kilku spoczywał w tece poety,  
nie mogąc zrazu zwalczyć trudności, jakie mu dot-  
knięci nim świętoszkowie dworscy ze stron wszyst-  
kich stawiali. Naprzód w licznych próbach do  
króla, naprzód w przedmowach i odpowiedziach na

Idę!

krytyki, Molière zapewniał niemal ze łzami, że ko-  
medya jego nie jest wymierzona przeciw religii, prze-  
ciw prawdziwej dewocyi, a ma na celu jedynie tych  
obludników, którzy pod płaszczykiem wiary, ślepego  
poddania się pod wolę niebios, spełniają swoje samo-  
lubne zamiary, nie są sługami bożymi, lecz jedynie  
własnego interesu. Wusprawiedliwieniach tych Molière  
bez zaprzeczenia miał słusność, ale gwałtowne i namiętne  
na niego napaści, za to, że światu poważył  
się ukazać w całej swojej nagości świętoszkostwo,  
religijną obludę, — dostatecznie wskazują, jak nie-  
bezpieczną musiała być ta ulomność jego epoki, sko-  
ro aż tak wielkich używać musiał środków ostrożno-  
ści, aż takie poczynić ustępstwa despotyzmowi poli-  
tycznemu, broń Boże! nawet nie po to, żeby wystąpić  
przeciw despotyzmowi religii, albo raczej tych co jej  
nadużywają, lecz tylko przeciw jednemu z najblah-  
szych i najpodrzedniejszych jego następstw. Tartuffe  
w samej rzeczy nie staje bynajmniej w opozycji  
z fanatyzmem i nietolerancją; Tartuffe, to zwyczaj-  
ny obludnik i oszust, który pod maską nabożnisa  
umie się wcisnąć do domu zacnego, lubo niezmiernie  
prostodusznego Orgona. Jego bezczelność sprawia, że  
bez trudu odnosi zwycięstwo nad wszystkimi uśilo-  
waniami ludzi rozsądnych, pragnących otworzyć oczy  
Orgonowi i matce jego, pani Pernelli, — a w końcu,  
gdy się Orgon na nim poznaje, już jest zapóźno, bo  
Tartuffe już go nakłonił do podpisania kontraktu, któ-  
ry uczynił hipokrytę panem całego majątku Orgona.  
Sprawa bezpowrotnie stracona, gdy w tém występu-  
je, jako *deus ex machina* na korzyść pokrzywdzonego,  
władza królewska:

Nous vivons sous un prince ennemi de la fraude,  
woła zjawiający się urzędnik sądowy, który ma roz-  
kaz uwieźć Tartuffe'a, —

My żyjemy pod królem, co zdrady jest wrogiem;  
Jego oko do serca się wdiera, jak boże,  
Ani go żadna sztuka zdrajców zwieść nie może.  
Zbrojnej w biegłą przezorność jego wielkiej duszy,  
Nie do śpiesznych wyroków nad słusność nie wrzusi  
Nie złudzi się, bo skrytość widzi jak na dłoni, —  
Wszelkiej ostateczności sąd jego się chroni, —  
I natychmiast, jak stanął przed nim ten oszczerca,  
Wszystkie przejrzał podłości w tajniach jego serca.

Bo Tartuffe, którego Orgon przygarnął do siebie,  
kiedy był w nędzy, który chce mu sprzeniewierzyć żo-  
nę, uwieść córkę, zabrać dobrą sławę i mienie, ten sam  
Tartuffe udał się jeszcze z fałszywym oskarżeniem do  
króla, by do reszty swego dobroczyńcę pognać.  
Samo się przez się rozumie, że wszystko to robi je-  
dynie dla większej chwały Bożej, *ad majorem dei  
gloriam*, bo

Jako nikt z bohaterów, których świat ten mieści,  
Nad prawdziwie cnotliwych nie wart większej cześci,  
I nic szlachetniejszego, godniejszego chwały,  
Nad świętej gorliwości przykład doskonały, —  
Równie nie podlejszego, każdy się przekona,  
Jak udaną świętością postać nastrożoną, —  
Jak te chytre świętosze, szczere szarlatany,  
Których podła pobożność i zapal udany  
Berkarnie nadużywa swych modłów nakretem  
Tego, co jest u świata szanownem i świętem.  
Ci to ludzie przedajni, z ciągłym uniznieniem,  
Którzy się pobożności bawią frymarzeniem,  
A przez wywroty oczów i napstrzoną świętość  
Chcą zarabiać na sławę, szacunek i wziętość:  
Co ze zbytnim zapalem, a z duszą ubogą,  
Do celu swych widoków dążą niebios drogą,  
Co wszystkim patrzą w ręce, w modlach pedzą lata, —  
Na dworach rozprawiają o pogardzie świata,  
I ze swą pobożnością godzą swe przywary, —  
Są to pełni chytrości, zli, mściwi, bez wiary,  
A gdy chcą kogo zgubić, zapęd ich zuchwały  
Jest potrzebny, jak mówią, dla niebieskiej chwały, —  
Tém bardziej niebezpieczny, że skrycie nas gonia  
Śmiertelną, a przez wszystkich szanowaną bronią, —  
I że święta ich zemsta z litości wyrazem,  
Pragnie nas poświęconem zabijać żelazem.

Ludzie prawdziwie pobożni wyglądają inaczej, i Mo-  
lière odmalował ich z prawdą, dowodzącą jak wy-  
soko ich cenil:

Ich duszy nie oznacza ta nieznośna pycha,  
Ich pobożność jest ludzka, jest skromna i cicha,  
A zostawiając drugim słowa pełne wrzawy,  
Swojami tylko, nasze poprawiają sprawy.  
Pozór złego w nich gniewu i zemsty nie budzi,  
Bo ich dusze przywykły dobrze sądzić ludzi, —  
Nie mają zajadłości w sercu na grzesznika, —  
Grzech tylko sam i zbrodnia gniewem ich dotyka.

To są ludzie! tych trzeba postępować torem!

Tacy też ludzie nie potrzebują się obawiać przed-  
stawienia Tartuffe'a, w którym i świat dzisiejszy nie-  
stety! nieraz swój prototyp poznaje. Temat to zre-  
szta drażliwy i dlatego wolę i ja teraz rzucić na niego  
zasłonę, powtórzysz już tylko życzenie, iżby Molière  
nauczył nas przynajmniej, rzucając okiem w około  
siebie, wejrzeć we wnętrza tych ludzi, którzy surowo-  
ścią w przestrzeganiu zasad nietolerancji, urojonych  
dogmatów wiary, zdają się rzucać anatema swego  
cnotliwego oburzenia na wszystkich, co patrzą na  
rzeczy w świetle nieco pogodniejszém i bardziej ła-  
godnem i ludzkim.

Na tém też kończę moją charakterystykę wielkiego  
komika i główniejszych jego utworów, których w tak  
szczytłych ramach wszystkich oczywiście dotknąć  
nie mogłem, a z dotkniętych zdołałem wykazac je-  
dyne strony najwybitniejsze. W dalszym ciągu  
tych moich odczytów, pomijając bezpośrednich na-  
stępców Molière, nawet celniejsze postacie końca ze-  
szłego wieku, Beaumarchais'go, Marivaux, Lebruna  
i innych, przejdę bezpośrednio w nasz wiek dziewię-  
tnasty, i tu, po krótkim tylko zбочeniu na korzyść  
ogólnie dramatycznego charakteru epoki, zastanowię  
się nad jednym kierunkiem, nad jedną szkołą dzisiej-  
szych francuzkich dramatyków, nad tak zwanymi  
realistami, których ojcem jest Alex. Dumas syn,  
a głównymi apostołami Augier, Sardou i inni.

## Korespondencja z Wiednia.

W chwili gdy cała Europa z taką niespokojnością,  
zwraca uwagę na wypadki wojenne, niepodobna aby  
Wiedeń pozostał obojętnym. Jako stolica kraju neu-  
tralnego i miasto przeważnie pracy i handlowi od-  
dane, nie może i nie ma czasu zajmować się bardzo  
polityką. Przecież nie może zapomnieć że jest także  
jednym z ognisk europejskich i charakter ten dosyć  
jest w nim widoczny. Okropności wojny, która tak  
wielkie przybrała rozmiary, dokonany w tak krótkim  
przebiegu czasu upadek potężnego mocarstwa, z dru-  
giej zaś strony jeszcze naglejszy wywrót społeczny  
tamże, wszystko to zajmuje w najwyższym stopniu  
uwagę wiedeńczyków, zwłaszcza przy rozbudzonym  
powszechnie zamiłowaniu do czytania gazet i wiel-  
kiej rozmaitości tychże, odpowiadającej potrzebom,  
wymaganiom i wykształceniom zarówno wszystkich  
koterji, jak i klas. Wiadomości o ostatnich wypad-  
kach głębokie sprawiły wrażenie. Gdy nadeszły i za-  
pomocą dodatków nadzwyczajnych do dzienników roz-  
powszechniać się zaczęły, była chwila, że najludniej-  
sze nawet ulice i place wypróżniły się i zaniemialy.  
W sklepikach tylko gdzie sprzedają gazety ścisł był  
nadzwyczajny. Na wielu wystawach sklepowych po-  
wywieszano gazety, aby je każdy mógł czytać. Wszy-  
stkie twarze wyrażały z początku samo tylko zdumie-  
nie; powoli, powoli pierwsze wrażenie minęło,  
jedni okazywali radość, drudzy smutek, w miarę te-  
go do której kto party należał i której ze stron wo-  
jujących sprzyjał.

Katastrofa cesarza Napoleona była podobno kie-  
dys przepowiedziana. Nieprzywiązujemy wiary do  
takich przepowiedni, owszem dziwny się że w na-  
szym wieku, mogą ludzie mówić o szem podobnem  
lecz zda się nam że nie będzie od rzeczy powtórzyć  
co piszą tutejsze dzienniki o przepowiedni Nostra-  
damus'a<sup>1)</sup>. Jeszcze przed katastrofą rozeszła się

1) Nostradamus albo Michał Nostredame urodzony  
w r. 1503 w Prowancji, miał ojca notariusza. Rodzina  
jego była żydowskiego pochodzenia. Ukończywszy w  
Montpellier wydział medyczny i otrzymawszy stopień dok-  
tora podróżował po Francji. Od miasta Aix otrzymał  
pensję za wyświadczone usługi w czasie zarazy. Po po-  
wrotnem ożenieniu osiadłszy w Salon oddał się astrologii,  
a chcąc uchodzić za proroka ogłaszał przepowiednie  
w czterowierszach rymowanych, które wyszły w druku  
w r. 1555 w Lyonie. Nieprzenikniona ciemność panują-  
ca w tych przepowiedniach, ton prorocy, pewność wy-  
słowienia zjednały mu sławę jakiej używał. Król fran-  
cuzki Henryk II którego przepowiednie śmierci dopatry-  
wano w prorocztwie Nostradamusa, obdarzał go kosztowne-  
mi podarunkami, a Karol IX mianował go przybocznym  
swoim lekarzem. Umarł w Salon 1566 r. a jeszcze w r.  
1781 przepowiednie jego przez dwór papieżki zostały za-  
kazane, z przyczyny że w nich przepowiedział upadek  
papieżstwa.



wiadomość, że Napoleon III już kilka lat rozmyśla z trwogą o jakiejś przepowiedni, dotyczącej jego losu. W chwili więc krytycznej w jakiej się cesarz ostatnimi czasy znajdował, zaczęto szperać i wywiadywać się o szczegółach tej przepowiedni, i w dziele kawalera de Chatelain (Ronces et Chardons p. 181) znaleziono słowa następujące:

„Quand le second Empire en Lutèce adviendra  
(Ceci n'est pas, las! une facétie!)  
Dix-huit ans, moins un quart, pas plus, il ne vivra.“  
Ainsi le dit dans son grimoire  
En termes clairs, le grand Nostradamus!  
„Dix-huit ans moins un quart — et pas un jour de plus!“  
Vive Nostradamus! Vive son Répertoire!  
Vive Nostradamus! Le grand Nostradamus!

Według tej przepowiedni drugie cesarstwo miało więc trwać 18 lat bez kwartału i ztąd Napoleon lekkał się upadku swego tronu w d. 2 września 1870, ponieważ cesarzem ogłosił się d. 2 grudnia 1852, to jest w rok po zamachu stanu. I rzecz dziwna, d. 2 września 1870 Napoleon poddał się jako jeniec wojenny i faktycznie przestał być cesarzem Francuzów.

Po kilkoniowym zimnie, które jakby druga wojna przeraziło lubiących się wygrzewać, i z upodobaniem wśród największego gorąca nurzających się w pierzu wiedeńczyków, nastąpiła pogodna i ciepła jesień.

Wiatr jednak, który w grodzie Babelsbergów stał obrat sobie siedlisko, w każdej porze roku jednakowe harce wyprawia, mocno daje się we znaki nie-nawykłym do klimatu, bo chociaż nie jest zimny, przejmując do kości, a konieczność polykania prochów miejskich, których tumany jak na stepie unosi po ulicach i placach, także nie każdemu przyjemna. Z nadejściem jesieni nadzwyczajna mnogość pieknych i smacznych i wcale niedrogich owoców, zapelnia wszystkie targowice. Tu widzieć można olbrzymie stosy melonów i kawonów, owdzie przepyszne winogrona czarne i białe, figi świeże, jednak schodzące już z pola, brzoskwinie i inne pospolitsze ale w najpiękniejszych gatunkach. Mieszczanstwo, podratowawszy zdrowie na świeżym powietrzu w wioskach pobliskich, ściąga powoli z pomieszek letnich do miasta, aby się znowu truc wyziewami miejskimi aż do przyszłego maja. Biedaki, ta im przynajmniej zostaje pociecha, że jeżeli się nie potrują na dobre, to jako tako natadują worki, bo zjazd obcych do Wiednia ciągle znaczny, między nimi tłuste gąski, u których niezem jest płacić drogo za zły towar, dla tego tylko że w Wiedniu kupiony, i które niewiedzą lub niechęcią wiedzieć o tem, że każdy lepszy produkt odchodzi za granicę a nawet na prowincję, podczas gdy w Wiedniu zostaje tylko to co gorsze i brzydsze. Choć jeszcze daleko do zimy, śmiało powiedzieć można że już teraz wszystkie kraje europejskie, wszystkie języki i narzecza mają tu swoich przedstawicieli. W kawiarni i w teatrze, w ogrodzie, w tramwaju, wszędzie gdzie się ruszysz, spotykasz cudzoziemców. Niedawno widzieliśmy tu kupca gubernii jenijskiej. Podobało mu się w Wiedniu nawet lepiej niż w Paryżu i Berlinie zkad właśnie przybywa. Chwalił szczególnie muzykę wiedeńską, i to jest mu bardzo na rękę że wszędzie rozmówić się może językiem ojczystym lub polskim który posiada. W Wiedniu bowiem zwłaszcza po handlach jest wielkie mnóstwo Czechów, których język rosjanin prędzej zrozumie, niż szkaradny dialekt wiedeński, choćby najlepiej umiał po niemiecku. Dodać jednak potrzeba, że Czesi tutejsi, źle widziani przez Niemców, nieprzynajmniej do swojej narodowości i jeżeli mówią po czesku, to albo tylko w cztery oczy, aby ich nikt nie słyszał, albo w koniecznej potrzebie. Do ogólnego ruchu w Wiedniu przyczynia się niemało zjazd kupców dla robienia zamówień. Popyt na artykuły jesienne zaczyna się ożywiać, i to tem bardziej, ponieważ o dwa tygodnie później niż w inne lata. Producenti wiedeńscy mają nadzieję, że tego roku, zwłaszcza jeżeli wojna wkrótce się skończy, będą mieli znaczny obrot na swoje wyroby, tak bardzo słynące w świecie. Szczególnie spodziewają się w tym roku wielkiego obrotu do Węgier. Gdyby nie wypadki wojenne, które szkodliwy wpływ wywarły na stosunki kupieckie, a tu i owdzie całkiem je przerwały, ruch handlowy byłby niewątpliwie daleko bardziej ożywiony. Z rzemieślników nie wszyscy mają robotę. Krawcy mężczy i damscy uzalają się na brak zleceń i bardzo wielu robotników pomiędzy nimi jest bez chleba. Przeciwnie rękawicznicy bardzo wiele otrzymali zamówień i uczuwają brak robotników. Stola-

rze, ślusarze, blacharze są zawsze poszukiwani, tem bardziej zaś teraz, z powodu przyspieszonej pod zimę budowy wielu kamienic. Na zimę przybędą Wiedniowi całe połacie nowych domów, w ogóle w stylu szlachetniejszym. Budowa tych domów, staranniej prowadzona, dość powoli postępuje, za to po odleglejszych przedmieściach częstokroć parę tygodni wystarczy na wzniesienie kamienicy o kilku piętach. Teraz jeszcze rozpoczynają w Hernals nowe domy, które z pewnością przed zimą będą zamieszkałe. Hernals jest to miasteczko osobną gminę stanowiące, ale pod każdym względem bardzo ściśle z Wiedniem złączone, oddziela go tylko rogatka wzniesiona w pośrodku dobrze zabudowanej i nieprzerwanej z jednej i drugiej strony ciągnącej się ulicy. Tutaj żyje się cokolwiek taniej niż w Wiedniu samym, ztąd też Hernals mocno jest zabudowany i nadzwyczajnie prędko się rozszerza.

Miejsca do przechadzki tak w Wiedniu jak okolicy smutny przedstawiają widok, odkąd słońce wypaliło murawę i wszelką zieloność. Niemniej przeto bardzo jeszcze bywają ożywione, zwłaszcza w dniu świąteczne. Największe tłumy zwabia zawsze Prater z tyśiącem swoich rozrywek ludowych, ze swojemi kawiarniami i piwiarniami, huśtawkami, karuzelami, strzelnicami, menażerjami, panoramami, tudzież mnóstwem wyłygroszów, co ubrani w suknie błazeńskie donośnym głosem zwabiają przechodniów do pustej częstokroć budy, wyliczając patetycznie osobliwości pokazać się mające, jakoto syreny, smoki, zwierzęta z członkami ludzkimi, ludzie z członkami zwierzęcymi, głowy ludzkie odcięte, gadające itp. Letnia rezydencja cesarska w Schönbrun także bardzo jest uczęszczana. Nietylko wspaniały ogród w guście francuzkim, z przepyszniemi alejami strzyżonemi, przyozdobionemi mnóstwem posągów i grup mitologicznych, wodotrysków, sadzawek, lecz także bogata menażerja cesarska, przystępna dla każdego ściągająca liczne gromady wszystkich klas ludności. Każda klatka ma swoich wielbicieli. Ci przypatrują się kozom, nosorożcom lub słoniom, inni lwom, panterom, niedźwiedzom, a jeszcze inni zyrafom tygrysom, wilkom itd. ale klatka kolosalna w której mieści się około 30 gatunków małp, jest zawsze w obłężeniu. Bardzo bogaty zbiór papug jest umieszczony w osobnym budynku, w pośrodku wielkiego dziedzińca, po bokach którego znajdują się oddzielone kratami dziedzińczyki i stajnie dla zwierząt czworonożnych. Osobno znajdują się budynki ze zbiorami ptaków, staw dla ptactwa wodnego i dziedzińce dla drobiu.

Po ferjach teatralnych rozpoczęły się na nowo przedstawienia w operze dworskiej. Już od piątej godziny popołudniu, a czasem od południa tłumy amatorów cisną się w przedsiionkach, aby dostać lepsze miejsce. Jest to połączone z niewygoda dla publiczności nawykłej odsiadywać parę godzin dziennie przy piwie. Wyrzec się piwa dla opery, to zbyt wielkie poświęcenie ciała dla ducha, i strata dla piwiarni. Częścią więc dla przywrócenia naruszonej tym sposobem równowagi w porządku stołecznym, częścią dla wygody! publiczności pomnożono znacznie w tym roku rzędy siedzeń nienumerowanych. W Wiedniu jest mnóstwo takich co się wznoszą po nad szumowiny wielkiego miasta, a jeszcze więcej takich, którym zależy na tem aby się pokazać na operze. Jedni czują potrzebę rozkoszy jaką sprawia doskonała muzyka, drudzy znajdują w tem interes gdy mogą pokazać swój dobry smak, swoją toaletę lub wdzięki, bo ludzie wszędzie jednacy, czy to w Warszawie lub Paryżu, czy w Wiedniu, choć tu psami jeżdżą. Wszystkie miejsca bywają więc zawsze zajęte, pomimo iż ceny dość są drogie (loża r. s. 15 na jedno przedstawienie). Na pierwszym przedstawieniu grano Freischütza z jak najlepszym powodzeniem. Gdy p. Herbeck kapelmistrz stanął przed pulpitem dla dyrygowania orkiestrą, powitano go grzotem oklasków. Radość niespodziana, ale zasłużona. Podobnie obsypano oklaskami spiewaczki Dustmann i Tellheim. Na drugim przedstawieniu dawano Fausta Gounoda. Obecnie zapowiedziane są: balet Satanella, opery: Afrykanka, Mignon, Don Juan, Romeo i Julia, wreszcie balet Awantury karnawałowe w Paryżu.

Teatr na Leopoldstadtzie (Carltheater), bardzo dobry chociaż drugorzędny, także daje operę. Niemordowany w troskliwości o powodzenie swojej sceny dyrektor tego teatru p. Ascher, popisuje się ciągle z świeżemi siłami. Obecnie występują panny Rudolf z Szweryna, König z Moguncji, Reger z Frankfurtu, panowie Schmitt z Bremy, Eppich z Wiednia, Stick z Królewea i Wachtel. Ten ostatni ma piękną

konsolację, jest bowiem ojcem dziesięciorga dzieci i dziadem pięciu wnuków. Może komu wyda się to śmiesznem, ale śmieje się a ja będę podziwiał cudny jego tenor i nigdy nie starzejącą się młodość. Wachtel jest gwiazdą pierwszej wielkości i wszyscy grający z nim artyści, pomimo niezaprzeczonych zalet, gasną przy nim. Robi też wielkie furory, osobliwie jako poczytylion z Lanjumeau i George Brown w Białej Damie. Szkoda że go nie zaproszą do opery dworskiej, gdzie mu się jedno z pierwszych miejsc słusznie należy. W teatrze na Jozefstadtzie obraz satyryczny E. Dorna „Giełda i praca“, zwabia codziennie mnóstwo widzów.

Muzyki i koncertów wszelkiego rodzaju nam nie-brak, nietylko w rozmaitych salach ale i po ogrodach publicznych. Muzyka jednak bardzo wojenny przybrała charakter. Wszędzie słyszysz pieśni wojenne i marsze, grzmot dział i szereg pałaszy. Wiedeńczycy lubią bardzo takie epopeje wojenne i przysłuchują się im z wielkiem upodobaniem. Można by ich podejrzewać że posiadają ducha wojennego, ale zaręczam że tak nie jest, i mniemam że łatwiej naśladować instrumentami szereg oręża, niż obudzić w Wiedeńczykach ducha bohatera wojennego. Zresztą odkąd na zachodzie woń prochu zapachniała w powietrzu, muzyka niemiecka w ogólności stała się wojenną i takimi są wszystkie nowe dzieła muzyczne wychodzące z pod prasy, jako to: Szturm do Weisenburga: Zwycięstwo pod Wörth: Marsz zwycięzki z pod Saarbrücken: Hura Germania! a szczególnie głośna dzisiaj i w najrozmaitszych występująca postaciach Wacht am Rhein. Tę ostatnią słyszeliśmy wykonaną bardzo udatnie przez chór męzki towarzystwa śpiewu w jednym z ogrodów publicznych.

Wystawy obrazów nie przebudziły się jeszcze ze snu letniego, to jest ciągle jeszcze mają ferje. Natomiast towarzystwo ogrodnicze urządza jesienną wystawę nasion i kwiatów. Mniemano że wypadki wojenne nie pozwolą urządzić wystawy i nie przygotowano się do niej jak należy. Z tego powodu musiano wystawcom przedłużyć termin do zgłaszania się. Obecnie jest nadzieja że wystawa będzie świetna.

Stowarzyszenie urzędników rządowych mające na celu niesienie członkom pomocy zapomogami, zaliczkami, asekuracją kapitałów i t. p. przeznaczyło w tym roku znaczną kwotę na stypendja dla dzieci-wcząt zwłaszcza sierot. Jest to środek niewiele znaczący na polu wychowania kobiet, bo tu nie powinno chodzić o następcę sposobności uczenia się, której jest podostatkiem, ile raczej o zmianę kierunku w temże.

W Wiedniu wychowanie kobiet zmierza głównie do upowszechnienia wiadomości handlowych i każda kobietę kształci na kupcową. Prawie każda czemś handluje, spekuluje, a nawet, nauczycielkami buchalteryi w zawiązanych świeżo stowarzyszeniach rzemieślniczych, były same kobiety. Owoż dla podniesienia spekulacji u kobiet uczyniono tu już aż nadto dosyć, a mało albo nic dla ugruntowania moralności, której srogim wrogiem jest to ustawiczne kupczenie, zasadzające się na ciągłym oszukiwaniu i wyzyskiwaniu obcych, jeżeli nie na towarze, to przy zmianie pieniędzy, w czem ładne rączki częstokroć jeszcze są zręczniejsze niż brzydkie.

St. Nowiński.

## Agnieszka Sorel.

(Dokończenie.)

Interes kraju i chwala Karola VII oto myśl która ciągle zajmowała Agnieszkę Sorel; dla tego to znalazła łaskę przed surową historją, dla tego to imię jej błogosławione przez wszystkie Francji pokolenia. Król francuzki nie był to już biedak wzdarczony, odebrał trzy części swojego państwa i już go wtedy nazywano: *Zwycięzcą*. Wszystko mu szło pomyślnie; wojsko liczne i bitne, skarb urządzony, kassa chociaż nie pełna ale nie próżna. Wszystko to król przypisywał Agnieszcze i tem więcej ją kochał. Piękność podbija ale dobroć i zacność utrwała zwycięstwo!

Nie tylko pcebudzała Agnieszka wojennego ducha Karola VII ale nie raz pokazywała mu ludzi, którym może zaufać i którzy też rzeczywiście wielkie mu oddali usługi. Mam na myśli owego głośnego podskarbiego królewskiego Jana Coeur. Zjawił się on pierwszy raz na dworze w Bourges, właśnie wtedy



kiedy król nie miał za co kupić sobie trzewików. Wszyscy swoi wiedzieli że był bardzo bogaty. Początek jego dosyć był biedny. Był synem kupca futer w Bourbonnais, a w krótkim czasie stał się największym bogaczem we Francji, co winien to nieporównanemu instynktowi handlowemu, obrotności i niezachwianej prawości. Miał swoje kantory we wszystkich wielkich miastach w kraju i za granicą.

— N. panie! powiedziała Agnieszka do króla, przyjm życzliwie Jana Coeur; złoto równie potrzebne jak żelazo, kiedy kto chce odzyskać państwo.

Karol VII usłuchał swęj przyjaciółki; niedługo potem Jan Coeur mianowany był dyrektorem mennicy w Bourges, a później powierzył mu zarząd dochodów i mianował go podskarbnym królewskim. Od tego czasu nie brakło już królowi francuzkiemu ani butów ani pieniędzy na wojnę z Anglikami. Dopóki Jan Coeur nie przyprowadził do porządku finansów to nie raz z własnej szkatuły pożyczał królowi ogromne summy bez żadnego procentu, około 200,000 talarów złotych. Summa bajeczna na tamte czasy.

Wiadomo wszystkim, że kiedy Agnieszki nie stało, król zwiedziony przez nieprzyjaciół Jana Coeur, skazał go na śmierć i wszystko mu zabrał. Ułaskawiony i wypuszczony na wolność, dorobił się drugi raz ogromnej fortuny, a synowie jego uzyskali od następcy Karola VII, Franciszka I zniesienie wyroku na ich ojca wydanego.

Opuściwszy Bois-Trousseau, mieszkała najczęściej *Dama piękności* w małym domku Fromenteau; król odwiedzał ją często i ciągle ją namawiał żeby się przeniosła na dwór, ale Agnieszka przekładała nad wszystko samotność. Jeżeli czasem król za mocno o to nastawał, jeżeli nawet królowa wzywała ją do siebie to wtedy rzucała się do ich nóg, błagając oboje królestwo, żeby jej pozwolili żyć w samotności. Raz podobno dała się namówić i pokazała się w Paryżu przy boku królowej. Ubrana w aksamity i drogą futra jaśniała brylantami, które podwyższały jeszcze jej piękność. Ale mieszkanie paryzkie, nie zachwyciło się jej wdziękami a rachowali tylko, ile to może kosztować jej strój tak wytworny. Gorzkimi też łzami opłacała chwilę błyszczenia i pełną żalu odezwała się do króla:

— Ci paryżanie to wielkie nic dobrego; nie warci są żebym ich kochała i żebym się im pokazywała!

Ale mieszkanie i ich gadaniny to fraszka; na dworze to królewskim miała Agnieszka silnych nieprzyjaciół, na czele których stał syn Karola VII, Delfin, głośny potem Ludwik XI. Czy odepchnięty przez Agnieszkę jako ją kochający, czy obawiał się wpływu kobiety mądrej, kochającej i poświęconej, nie wiemy, ale to jest pewna że jej nie cierpiał aż do nienawiści, aż do brutalstwa. Od młodych lat chytry, skryty i ponury, wiedział dobrze że król porzuciłby ją zaraz, gdyby inna miłość rozbudziła się w jej sercu. Postanowił zatem żeby zgubić Agnieszkę użyć podstępny i potwarzy, postanowił narzucić jej kochanka mimo jej woli.

Było to r. 1446 król z całym dworem bawił w zamku Chinon; Agnieszka była tam także. Delfin przywołał do siebie jednego ze swoich poufnych, Antoniego Chabannes hr. de Dammartin. Był to najpiękniejszy młodzieniec na dworze. Delfin wiedział że Chabannes "kocha skrycie Agnieszkę i rozkazał mu żeby odtąd jawnie się nią zajmował. Na ten raz chytry Ludwik omylił się bo hrabia Dammartin kochając szczerze, nie chciał szkodzić kobiecie, którą kochał, przyjął jednak polecenie. Niebezpieczna to była taka missja, a zgubna zawsze czy się uda czy nie. Jeżeli się uda straszny będzie gniew króla, jeżeli się nie uda straszna będzie zemsta Delfina. Dammartin chwycił się środkowej drogi i postanowił oszukać i króla i Delfina.

Wszyscy z zadziwieniem ujrzeni że Dammartin żywo kręci się około Agnieszki — ale nadskakiwanie to było pełne uprzejmości i szacunku. Delfin ciągle się dopytywał hrabiego jak daleko zaszedł w łaskach *Damy piękności*, a ten odpowiedział dwójznacznie że jest na dobrej drodze. Delfin zaczął mieć w podejrzaniu Dammartin'a, a i król ostrzeżony przez dworaków zaczął zwracać uwagę na hrabiego. Czy przypadek czy nieostrożność Dammartina wykryła tę kabałę. Pewnego dnia hrabia będąc sam na sam z Agnieszką dał się unieść uczuciu, i uklękawszy przed Damą piękności, wyznał jej swoją miłość. Agnieszka oburzyła się taką zachwalością, a gdy ją hrabia chciał zatrzymać bo wyjść chciała, uciekła nagle a hrabia pobiegł za nią chcąc ją przeprosić i o zachowanie tajemnicy błagać. Biegących tak za sobą spotkał

król, zapłonął gniewem i zapytał się co to znaczy? Agnieszka opowiedziała mu cały wypadek, hrabia zgnębiony i zawstydzony samą swoją postawą potwierdzał prawdę słów Agnieszki. Król strasznie się rozgniewał i rozkazał hrabiemu opuścić natychmiast zamek, i nigdy na dworze się nie pokazywać.

Dammartin przestraszony gniewem króla, niepewny nawet życia, pobiegł do Delfina i opowiedział mu co zaszło. Ludwik zgryziony że mu się podstęp nie udał, rzekł:

— Z mojego rozkazu wystawiałeś się na takie niebezpieczeństwo to też bądź pewny że cię nie opuszczę, pomówię o tem z moim ojcem.

Nazajutrz rano, w przytomności Agnieszki, Ludwik prosił ojca o przebaczenie dla Dammartina, ale Karol VII był nieublagany.

— Człowiek ten nigdy nie postanie na moim dworze i niech się uważa za bardzo szczęśliwego, że Dama piękności a *ma mie* przestała na tak lekkiej karze.

— Na rany Chrystusa Pana zawołał Delfin, to ta bezwstydnica jest przyczyną wszystkich naszych nieporozumień.

I przysunawszy się do Agnieszki uderzył ją w twarz: król skoczył, jak rozjuszony lew, uchwycił syna za barki i przewrócił go na ziemię. Straszny i groźny miał go już uderzyć, kiedy wspaniałomyślna Agnieszka zatrzymała rękę króla.

— N. panie! nie zapominaj że to twój syn.

— Dobrze! odparł król, ale niech natychmiast opuści Chinon. Delfin, przytłamszy w sobie gniew podniósł się powoli blady i ponury, wyszedł nie wyrzekłszy ani słowa. Mimo tego, kiedy został królem zawsze wysoko cenit pamięć Agnieszki.

Niedługo po tym wypadku, któryśmy opowiedzieli, pani piękności porzuciła króla i dwór i już nigdy do nich nie wróciła. Ani błagania króla, ani próby królowej i namowy serdecznych przyjaciół nie mogły przełamać jej postanowienia. Usunęła się do zamku Loches, ozdobionego przez Karola VII wszystkimi arcydziełami zbytku i sztuki. Żaden przykry wypadek nie zachmurzył reszty jej życia, a odwiedziny króla uprzyjemniały często jej samotność.

Przy końcu 1448 roku, dowiedziawszy się o spisku Delfina przeciwko ojcu, zajętemu wtedy odzyskaniem Normandji, postanowiła opuścić swoje schronienie. Napisała wprzód do króla, żeby był ostrożny i że wkrótce sama przybędzie i opowie mu szczegóły. Zaraz na początku następnego roku opuściła *Dama piękności* swoje schronienie żeby się zobaczyć z królem, który wtedy bawił w opactwie Jumièges.

Nie mogła dojechać na miejsce; porwały ją nagłe straszne boleści i zmuszona była zatrzymać się w zamku Mesnil-la-Belle, o kilka mil od króla. Choroba szybko postępowała; Agnieszka widziała niebezpieczeństwo i powtarzała nieraz:

— Widzę, że śmierć mię porwie; nie zobaczę już ani króla ani mojej pięknej Turenii.

Pożegnawszy orszak swój umarła o godzinie szóstej wieczorem dnia 9 Lutego 1449 wyrzekłszy te słowa:

— Jezus! zmiłuj się nademną!

Miała lat czterdzieści. Zostawiła piękne dobra i trzy córki: Karolina poślubiła hr. Jakóba de Brézé; Małgorzata pana Pregent de Coëtivi, a Joanna hrabiego Sancerre de Beuil.

Śmierć Agnieszki dotknęła Karola VII bardzo boleśnie, wpadł w smutek niezmiernie niepokieszony i powtarzał ciągle:

— Straciłem najlepszą przyjaciółkę! Wielkie niebezpieczeństwo spadło na mnie! Umarła tak młoda!

Wszyscy na dworze byli tego zdania, że Agnieszka była otruła. Robiono najrozmaitsze przypuszczenia; jedne z nich zupełnie niedorzeczne, drugie prawdopodobne ale nie mające pewności. Najbliższej prawdy są ci którzy utrzymują że Delfin przez zemstę, pozbył się nienawistnej sobie kobiety.

Po śmierci Agnieszki Karol VII do śmierci już był znękany i niepokieszony. Nie mało smutku sprawiał mu własny syn, który się ciągle przeciw niemu buntował i ciągle spiskował. Kronikarze opowiadają, że się tak bał Karol VII własnego dziecka, że nie chcąc być otrutym przez niego zamorzył się głodem 22 Lipca 1461.

Do imienia Damy piękności nagromadziły się różne legendy, dziś jeszcze powtarzane w Turenii. W zamku Loches nie ma nawet śladu grobu Agnieszki; wiadomo tylko że na płycie z czarnego marmuru leżała w całej postawie a głowa spoczywała na poduszce, którą podtrzymywały dwa amorki. W ostatnich czasach w jednej z wież zamku postawiono Agnieszce pomnik.

## Korespondencja ze Lwowa.

W końcu sierpnia orjentować się mogą we Lwowie bez rachuby kalendarzowej. O tej porze każdy Lwowianin przy pomocy innych stałych wskazówek odgadnąć może, że sierpień kończy się a niebawem zawita już wrzesień. Corocznie bowiem w ostatnich dniach sierpnia, pojawiają się na murach i kamienicach różnego kształtu i kroju kartki zawiadamiające rodziców, gdzie znaleźć można „stancję i wikt dla panów studentów“. Kartki te pojawiają się obficie jak gdyby po deszczu, z podziwienia godną punktualnością, są przytem pod pewnym względem tak ciekawe, że dałoby się napisać o nich zajmująca monografia. Dla gramatyka mianowicie są one bardzo cennym nabytkiem, bo stanowią niejako powszechną wystawę najrozmaitszych błędów ustalonych w dialekcie Lwowskim i prowincjonalizmów zakorzenionych głęboko w narzeczu przedmiejskim. Kaligrafa zająłoby potrafiły te kartki, bo i pod tym względem celują one oryginalnym krojem i bardzo bujną rozmaitością. Itak n. p. Zielone przedmieście oddalone bardzo od miasta rozlepie kartki, których pismo imponuje dobrą tuszą i wesołemi zygzakami. Wszystkie kartki pisane widocznie piórami gęsimi. Pióra stalowe są tam zapewne nieznanne jeszcze. Styl tych katek odznacza się naiwną prostodusznością i zamasytymi zwrotami, które odsłaniają całą kopalnię błędów ortograficznych i prowincjonalnych usterek. Przedmieście Łyczakowskie ma pretensje do takiego stanowiska, jakie w Paryżu zajmuje Faubourg i St. Germain. Tu już znany jest oddawna wynalazek piór stalowych. Pismo na kartkach jest pełne pretensjonalności i fantazji, styl pompatyczny a z pod formalnej mgły imiesłowów i zawiłych konstrukcji nieraz niepodobna odgadnąć myśli. Chciałbym jeszcze przejść się z czytelnikami po innych częściach miasta, ale powstałoby ztąd mogła formalna monografia o tem kaligraficzno-gramatycznym potpourri, która niezmieściłaby się w ramach korespondencji.

Równocześnie z pojawieniem się tych anonsów Lwów zaczyna się ożywiać. Na ulicach spotkać się już można często z gwarliwą grupą powracającą ze wsi młodzieży szkolnej. Ferje chociażby nawet tak słotne jak tegoroczne, wpływają ożywiająco na młodzież szkolną. Wszystkie twarze, z którymi się teraz spotkasz przed zabudowaniem szkolnym uderzają ogromnym podobieństwem do księżycyca w pełni a każdy rozprawia głośno i popiera owe słowa zamasytymi ruchami. Są to wpływy wiejskiego powietrza i wiejskiej swobody. Z tym zapasem odświeżonego humoru i pokrzepionych sił młodzież wraca dzisiaj do szkoły. To też i Lwów ożywił się pod wpływem przyjazdu takich wesołych gości. Młodzież szkolna nie jest wprawdzie we Lwowie tak ważnym czynnikiem jak w miastach prowincjonalnych, gdzie ludność jest niewielką ale mimo to zawsze czujemy podczas ferji brak tego ruchliwego żywiołu i witamy radośnie jego powrót. Lwów bowiem staje się bogatszym o kilka tysięcy młodych ludzi, a tętno ruchu i gwaru publicznego podnosi się zaraz w pierwszych dniach września o kilka stopni wyżej.

Niezadługo otwarte już zostaną także i prywatne zakłady naukowe. Lwowska szkoła dramatyczna zapowiedziała otwarcie kursu plakatami na dzień 5 września. O zakładzie tym, który powstał dopiero w bieżącym roku, nie pisałem wam dotąd, a przecież historia jego założenia jest bardzo ciekawą. Założenie szkoły dramatycznej jest pod niejednym względem podobne do stworzenia świata. Świat powstał z niczego, Lwowska szkoła dramatyczna tożsamo, bo powstała bez uczniów uczennic i profesorów. Dyrektor i prezes towarzystwa przyjaciół sceny narodowej rzekli: stań się! i stała się szkoła dramatyczna.

Jestem przeświadczony o potrzebie i pożyteczności tej instytucji, ale mimowoli powstrzymać się nie mogę od śmiechu, widząc z jaką lekkomyślnością biorą się u nas ludzie do trudnego zadania i jak w skutek tego często myśl zdrową, piękną dyskredytują. Dyrektor teatru lwowskiego i towarzystwo jego przyjaciół (nazwane niewłaściwie towarzystwem przyjaciół sceny narodowej) nie obliczwszy się z wszystkimi trudnościami i własnymi siłami podjęli zadanie olbrzymie dla dogodzenia swęj ambicji i zrobili fiasko: Szkoła dramatyczna już przy samym wstępie swego istnienia, nie miała potrzebnej liczby uczniów i uczennic. Liczba ta zapewne w skutek bra-



ku dobrych profesorów zagraża dalszemu wegetowaniu tej szkoły a publiczność nie widząc żadnych skutków pożytecznych, nie spieszy już dzisiaj w pomoc z dawną swą gotowością. Ta nieogłębność sprawiła to, że dziś plan założenia dobrej szkoły dramatycznej, podjęty nawet przez ludzi kompetentnych do takiego zadania, natrafiłby na nieprzewidywane trudności. Publiczność bowiem raz zawiedziona w swych nadziejach, nie pospieszyłaby z moralnym poparciem tych usiłowań, lecz owszem przypatrywałaby im się nawet z pewnym zniechęceniem.

Dla Lwowian przygotowuje się miła niespodzianka literacka. W pierwszych dniach przyszłego miesiąca wyjdzie z pod prasy *Chochlika kalendarz humorystyczny*, który po jednorocznej pauzie przywiezie nam znowu bogatą wiązkę wesołych rzeczy i utworów satyryczno-humorystycznych. Kalendarz ten jak słyszałem, będzie także zapowiedzią rychłego wskrzeszenia *Chochlika*, pismka humorystycznego, którego dawne roczniki są cennym zbiorem utworów prawdziwego humoru i zdrowego dowcipu. Wszyscy życzą sobie tego najmocniej i przyjmą to wznowione wydawnictwo niezawodnie z wielką przychylnością. *Chochlik* nie wychodzi już od dwóch lat a mimo to niektóre jego dowcipy i piosenki wesołe tak się przyjęły między publicznością, że do dzisiaj, jeszcze są powtarzane. Dla pisma humorystycznego w mieście naszym, istnieje bogaty materiał i liczny zastęp gorących zwolenników. Powstanie *Chochlika* nie jest wcale wróżbą upadku drugiego pisma humorystycznego *Szczutka*, który potrafił już sobie zaskarbić także niemłą przychylność u publiczności. Oba pisma mogą z sobą współzawodniczyć, ale nie potrzebują zagrażać sobie wzajemnie, gdyż odróżnić się będą od siebie zakresem działania, tonem i barwą.

Doczekaliśmy się wreszcie po długiej przerwie świeżego zeszytu *Mrówki*, który jest raczej książką niżeli zeszytem pisma perjodycznego. Świeży ten zeszyt *Mrówki* zawiera kilka arkuszy druku i treść bardzo obfita. Są tam dwie powieści rozpoczęte (T. J. Jeża i Pauliny Wilkońskiej), tragedia Szekspira Król Lear w wybornym przekładzie Adama Pługa, rozprawy i dużo rycin. Pod tym ostatnim względem świeży zeszyt *Mrówki* jest ciekawy. Dotychczas *Mrówka* nie posiadała rycin oryginalnych i zasilala się po większej części drzeworytami warszawskich pism illustrowanych. Powodem tego ubóstwa artystycznego był brak rysownika i rytownika we Lwowie. Świeży zeszyt *Mrówki* zawiera już ryciny oryginalne i bardzo piękne. Przybył bowiem zdolny rysownik pan Martynów, który w tym zeszycie złożył dowód wielkiego talentu. Rysunki jego wyróżniają na drzewie p. Szymański. Drzeworyty odznaczają się zręcznością i starannością w wykonaniu. Przy pomocy pana Martynowa i p. Szymańskiego *Mrówka* stać się może na prawdę dobrem pismem illustrowanym, o czem dotychczas dla braku rysownika i rytownika nawet nie myślano.

Ale cóż to wszystko pomoże, skoro druga trudność stojąca na przeszkodzie rozwojowi pisma, to jest brak prenumeratorów nie ustępuje, lecz owszem wzmagają się z zatrważającą szybkością. Dzisiejsza wojna wojenna pochłania uwagę i ciekawość wszystkich, a pisma często literackie spostrzegają w zastępie swych prenumeratorów wielką dezercję, co już w poprzedniej mej korespondencji przewidywałem. *Dziennik literacki* wystąpił już nawet z otwartą naganą dla publiczności i w artykule: *Z powodu wojny* robi wyrzuty tym głównie czytelnikom, których wypadki wojenne oderwały od czytania rzeczy poważniejszych. Artykuł ten jest groźnym ultimatum wystosowanym do prenumeratorów. Redakcja grozi w nim zerwaniem stosunków dyplomatycznych, t. j. zawieszeniem wydawnictwa.

Poznańska księgarnia Żupańskiego ubiegła podobno w tym roku wszystkie inne. Na wystawach lwowskich księgarzy firma ta jest świetnie reprezentowaną. Żupański jest nadzwyczajnie skrzętnym i czynnym wydawcą, w ostatnim roku zasilil ruch książkowy wielu cennymi rzeczami. Książki wydane jego nakładem w tym roku odznaczają się wielką elegancją i starannością pod względem typograficznym. Jest to zaleta, którą mało z księgarzy lwowskich poszczycić się może. Z książek wydanych przez Żupań-

skiego wspomnę tu o dziele: *Z teki literackiej*, napisanem przez znanego lwowskiego literata Władysława Zawadzkiego. W dziele tem autor zebrał literackie artykuły swoje pisane w ostatnich latach, i rozproszone po rocznikach literackich pism lwowskich. Książka składa się po większej części z krytycznych rozpraw i kilku życiorysów. Jest tam wiele rzeczy bardzo cennych, ale niektóre rozprawy niepotrzebnie zostały przedrukowane. Rozprawy te odpowiadały chwilowej potrzebie, mogły się w swoim czasie bardzo nam podobać, ale dla swego charakteru okolicznościowego, mogły i nadal pozostać w rocznikach dziennikarskich.

Na sam koniec tej korespondencji odłożyłem smutną wiadomość którą należało może na samem czele, postawić. Jest to wiadomość o śmierci Dr. Stanisława Juljusza Zborowskiego, który umarł tu w pierwszych dniach sierpnia. Ś. p. Zborowski mimo młodego bardzo wieku (umarł w 28 roku życia) był już docentem przy uniwersytecie lwowskim, gdzie wykładał o prawie polskiem, i zaszczytnie znany był światu literackiemu jako poeta i uczonej. Poezje jego pojawiały się w różnych pismach z podpisem *Juljusz Jastrzębczyk*, rozprawy zaś drukowane w *Dzienniku literackim*, o dziele uczonego Maciejowskiego, *Historja prowadawstw słowiańskich: O statucie Wiślickim*, zjednały mu rozgłos i zasłużone uznanie. Rozprawy te bowiem odznaczają się sumienną starannością, gruntowną nauką i pięknym, gładkim stylem. Na katedrze uniwersyteckiej, którą dopiero w tym roku zajął, potrafił ś. p. Zborowski zjednać sobie licznych i chętnych słuchaczy. Wykłady jego obok ścisłości naukowej ujmowały każdego słuchacza sympatyczną formą i pięknem opracowaniem. Potrafił on pogodzić charakter naukowy swego przedmiotu z poetyczną formą, i wystrzegał się przy zmuśniętej swiej pracy i sumiennych badaniach, tej pospolitej a tak nieznośnej doktrynerskiej pedanterji. To też w krótkim swoim zawodzie profesorskim ś. p. Zborowski zdobył sobie w gronie profesorów powszechne uznanie, a pomiędzy młodzieżą znalazł nadzwyczaj liczny zastęp wielbicieli. Wyrazem tego powszechnego żalu, jaki wzbudziła w całym mieście wiadomość o przedwczesnym zgonie młodego uczonego poety, był tłumny pogrzeb, na który pospieszyła cała młodzież akademicka obecna we Lwowie, wszystkie nasze znakomitości i liczny orszak pobożnych. Cześć jego pamięci!

Dotkliwą stratę poniósł także Lwów w śmierci tujszego adwokata dr. Eligiusza Białoskórskiego, któremu srogiemu cierpieniu fizycznemu, nadzwyczaj nadwątłone zdrowie i ułomność wepchnęły w rękę narzędzie samobójcze. Ś. p. dr. Białoskórski znany był we Lwowie z wielkich zdolności i rzadkiej prawości charakteru. To samobójstwo tragiczne w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu wstrząsnęło całym Lwowem i wywołało powszechny smutek.

B. Ł.

NATALJA BORYSÓWNA

**DOLGORUKOWA.**

POWIEŚĆ

P. Furmanna.

(Dalszy ciąg.)

Jan potrząsł głową z wyrazem zwątpienia.

— Nie grzesz Janie, Bóg miłosierny!

— Masz słuszność: Bóg miłosierny, ale ludzie źli!

— Są i dobrzy ludzie na świecie, nie szemraj....

Podobało się Panu doświadczać nas, to wypijmy do dna czary gorczy, lecz niech usta nasze nie wymówią ani jednego bluźnierstwa, ani jednej skargi! Poddajmy się woli Najwyższego i powiedzmy: „Panie, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi!”

Słowa te wymówione były z taką mocą, iż zdawało się że na młodą księżnę spłynęło wyższe natchnienie. Mąż podniósł głowę i uważnie patrzył się na nią.

— Patrz mówila dalej, tuląc się do niego, patrz, z jakim wdziękiem, z jaką starannością przybrał

prosty wieśniak swój najlepszy piękny kącik. Spojrz na Boskie oblicze Zbawiciela... Kto cierpiął więcej od Niego, Syna Boga, oddającego życie swoje dla zbawienia grzesznego rodu ludzkiego?... Pójdź Janie, padnijmy na kolana przed świętym obrazem i pomódlmy się....

Niebiescy aniołowie na skrzydłach swoich nieśli do tronu Najwyższego. gorące, bezsłowne modlitwy, płynące prosto z duszy.

— Lżej mi, rzekł książ Jan Aleksiejewicz, wstając i ocierając łzy.

— Izdebka weselsza i piękniejsza! dodała Natalia. Książ zauważył że pomimo to niepodobna będzie mieszkać w tej izbie. Rzeczywiście choć gospodarze byli ludźmi poczciwymi, lubiącymi porządek i czystość jednakże powietrze w chacie było ciężkie i duszne. Już to widać taka cecha chaty wieśniaczej stron tych dalekich. Cóż robić?... Poszli obejrzeć podwórze i spostrzegli szopę na siano. Siana było w niej nie wiele, więc niewielu zmianami i naprawieniem można tam było urządzać sypialnię. Zapomniawszy chwilowo o zmartwieniach Natalji Borysówna śmiała się i cieszyła jak dziecko, że już mają sypialnię w szopie i bardzo poważnie zapewniała męża, iż zapach siana jest niezmiernie zdrowy.

W chacie pomieścili towarzyszkę francuską i dwie pokojówki.

Podczas gdy we dworze na wszystkim zawisł smutek czarną chmurą, tu w nędznej szopie, w duszy nowych jej mieszkańców, przebiegał się jasny promień radości....

ZNOWU W DROGĘ.

Wygnańcy urządzili się jak mogli. Czas był ciepły i dla tego przepędzono większą część dnia w parku. Mężczyźni rozrywali się polowaniem. Dom odświeżano i przyprowadzono do porządku. Nawet szopa na siano, była zawieszona dywanami i ozdobiona o ile pozwalało miejsce. Wszyscy zaczęli powoli przyzwyczajać się do nowego trybu życia.

Kassa Natalji Borysówny bardzo się zmniejszyła, lecz pocieszała się tem przynajmniej, że już żadnych szczególnych nie było wydatków.

Tak płynął dzień za dniem. Ani z Moskwy, ani z Petersburga nie otrzymali żadnej wiadomości. Nikt nie wiedział co tam słychać. Tymczasem Biron i inni nieprzyjaciele Dołgorukich nie zasypiali sprawy, układali podstępny i okrutny mękami wymuszali niesłuszne dowody.

W trzy tygodnie po przyjeździe do swoich dóbr cała rodzina Dołgorukich zebrała się w stołowym pokoju. Obiad zaledwo się skończył. Służba sprzątała nakrycie. Mężczyźni rozprawiali z zapalem o polowaniu, przytaczali różne zdarzenia i uwagi, a często śmieli się serdecznie. Starsze kobiety i panny stanowiły osobne kółko, i także rozmawiały o czemś wesołym. Książ Aleksy Grygorowicz drzemał w bliskości w głębokim, miękkim fotelu. Było widoczne że smacznie obiadował. Wszędzie przebiegało się jeżeli nie zupełne szczęście, to przynajmniej spokój rodzinny.

(d. c. n.)

**Od Redakcji.**

W kwartale czwartym rozpoczynającym się z dniem pierwszym Października, r. b. Tygodnik Mód pod temi samymi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Upraszamy przeto o wczesne nadsyłanie *wprost do Redakcji* kwoty prenumeracyjnej, gdyż tylko tym jedyńc sposobem, bezwzględne wysyłanie wychodzących numerów i regularny ich odbiór zapewnionym być może. Prenumerata kwartalnie wynosi: w Warszawie r. s. 1 kop. 80 — na prowincji r. s. 2 kop. 50. Adresować prosimy do J. K. Gregorowicza w redakcji Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci w Warszawie ulica Zabia N. 956.

Z powodu nie nadejścia z zagranicy dodatków z drzeworytami, takowy dodany zostanie do następnego numeru.



**Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego  
dołączonego do N. 37 Tygod. Mód.**

N. 5. Kaftanik z rękawami puszczone, w żab wyciętymi.

Krój rękawów na dodatku N. 3. fi: 9 — 9a.

Kaftanik z czarnego sukna, osyty szlaczkiem sukna pasowego, haftowanego jedwabiem żółtym i czarnym, podług deseni podanego w N. 36 Ty: Mód rycina 34. Szlaczek pasowy pokrywa szew na rękawach. Frenzdla jedwabna czarna dopełnia garnirunek.

N. 6. Kaftanik z rękawami od łokcia do ręki w fałdki zaszytymi.

Krój na dodatku N. II fig: 8 — 8a.

Haft podług wzoru podanego w Ty: Mód N. 36 rycina 33, wyszyty stosownie kolorami na tle kaftanika, służy do przyozdobienia go. Fałdowanie rękawów pokryte paskiem haftowanym. Zamiast frenzdli dana jest falbana 6 centy: szeroka z tej co kaftan materyi.

N. 7. Okrągłe pokrycie na stół z siatki poszytej aplikacją szydełkową.

Ośma część pokrycia podana w naturalnej wielkości.

W numerze 36 Ty: Mód rycinę 22 podaliśmy w miniaturze całą serwetkę, dziś udzielamy objaśnienie tej ładnej i niekosztownej roboty. Rozpiętą w tamborku lub krosnach siatkę, pokrywa się muslinem i odrabia szydełkiem lub ścięciem łańcuszkowym podług rysunku. Róże robią się w ręku, szydełkiem ścięciem odstającym zwanym *en relief* z bawelny szydełkowej nie zbyt cienkiej; tak odrobione róże rozmaitej wielkości naszywa się na siatkę podług podanego rysunku. Brzeźne zęby dziergają się i obrabiają kilka razy, rząd łańcuszkiem koło rzędu. Takimie łańcuszkiem i w taki sposób obrobiona jest rozeta na środku, listki w rozecie obrabiane pojedynczo. Niepotrzebny muslin wycina się ostrożnie, a w wiązaniach i zagięciach rozety, wywodzi się siatka jak wzór wskazuje.

N. 8. Koronka irlandzka mogąca zarówno służyć do przybrania sukien, jak i na wyłożenia do koszyczków, szyfonierki i t. p.

N. 9. Kokardka do kołnierzyka.

Najmodniejsze kokardki robią się z *crêpe de Chine* lub materyi rypsowej. Długość końcy wynosi 11 centy: 3 cen szerokości.

N. 10. Deseń na torbę podróżną.

Desenie na robotę krzyżową w naturalnej wielkości nie często mogą być podawane, bo zbyt wiele zabierają miejsca. Dla osób wprawnych w podobne roboty zmniejszony rysunek jest dostateczny. Narysowany w środku wagon towarowy odrabia się perłkami czarnymi, dwoma cieniami popielatymi i kredowo-białymi. Jasne z zębów otoczenie odrobic jedwabiem koloru złotego, tło wypełnić włóczką pasową, jasny środek w liściach kolorem białym, liście zielonym do cienia na tle czarnem, resztę tła po za deseniem kolorem brązowym. Kanwy odpowied-

niej do roboty włóczką angielską trzeba na torbę 33 cen. na wysokość i 41 centy: na szerokość.

N. 11 — 12 Torsady do sukien, bluzek, i t. p. Robota wiązana.

Zręczne czytelniczki z podanego wzoru zrozumieją sposób roboty wiązanej, do której stosownie do przeznaczenia użyć można szarego lub białego nicianego kordonku.

N. 13. Haft gipiurowy maszynowy i ręczny.

Dla ułatwienia roboty można tylko odrobic ręcznie wszelkie kratki mocnym kordonkiem z pod których tło się wycina, matowy zaś deseń wywieść i obdzierać w maszynie.

Obszycia takie bardzo są modne do batystowych sukien.

N. 14. Koldra z mozaiki jedwabnej.

Przed dawnymi laty używane roboty mozaikowe, układane z zeszywanych podług deseni kawałeczków, rozmaitej kolorowej materyi, dziś znów za granicą usiłują wprowadzić w modę.

Pojedyncze części deseni muszą być jak najdokładniej wycięte z grubego i sztywnego papieru, na nich fastrzygują się kawałki materyi i zaszywają gęsto z lewej strony okrętką.

Tak odrobiwszy najprzód pojedyncze gwiazdy, kwadraty, trójkąty i t. p. spaja się następnie w całość i usuwa foremki papierowe. Na wzorze przedstawionym gwiazdy są z materyi niebieskiej, otoczenie żółte, a trójkąty białe. Dalej idą kolory: czarny i różowy, popielaty, zielony, i t. p. dobierane stosownie ażeby wybitnie

Obydwa te szlaczki zaczynają się od 12 oczek łańcuszkowych, złączonych w kółko, przy którym przyrabiają się wskazane nader wyraźnie na rysunku ząbki; skończywszy ząbek zrobić pięć luźnych oczek jako łańcuszek łączący i 12 na kółko do następnego ząbka.

N. 17—18. Szydełkowe szlaczki.

Szlaczki te zarówno służyć mogą do bielizny jak i do przybrania sukien lub bluzek. Odrobione z niewarowych nici naśladują tak dziś modną niewarową gipiurę. Robota zaczyna się od środka jak to sam układ wskazuje, następnie do петельkowych pikotów przyrabia się szlaczek z obydwóch stron.

N. 19. Wstawka z siatki gipiurowej.

Brzezi tej wstawki zakończyć trzeba wążutką frywolitową lub szydełkową robotą, albo też ząbkami dzierganymi lub brzeżkiem na batystie haftowanym.

N. 20. Sukienka wełniana dla dziewczynki.

Przybranie sukienki niebieskiej wełnianej stanowi brzeżek haftowany lub koroneczka gipiurowa i wstawka. Tiunika oszyta być powinna marszczoną falbanczką. Wzór jej podajemy osobno pod N. 23. Krój na dodatku N. X Fig. 24—26.

N. 21. Sukienka z popielatego „toile de laine“ dla dziewczynki.

Szeroka i dwie wązkie aksamitki czarne w małych po brzegach odstępach, stanowią garnirunek sukienki. Tunikę oprócz aksamitki przystraja falbanka z teje co sukienka tkaniny.

N. 22. Muslinowa pelerynka i mankiety.

Krój na dodatku N. VI Fig. 14—15.

Dziergane na muslinie falbanci 3—4 i pół cent. szer. marszczą się i układają na podszewce podług Fig. 14 przykrojonej. Środkiem przechodzi 3 c. szeroka bufa z muslinu na kolorowej wstążce. Miare odpowiednich mankietków podaje Fig. 15.

N. 23. Tiunika dla dziewczynki do N. 20.

Krój na dodatku N. X Fig. 24—26.

Z tegoż co sukienka materya, albo z innej tkaniny, a nawet w innym kolorze tiunika przykrojona podług dołączonej formy, może być tylko z paskiem i kokardą z tyłu albo szelkami. Przybranie wzoru stanowi 2 cen. szeroka gipiura biała i wstawka odpowiednia. Na podpięciach tiuniki, guziki koloru sukni.

N. 24 i 25. Stanik wycięty i tunika.

Suknia z błękitnego jedwabnego rypsu, ubrana szelkami, paskiem i obłożeniem z aksamitu w takinze kolorze. Spódnicą bez garnirunku z długim trenem; tiunika z boków otwarta kraje się prosto. Różnicę między podanymi wzorami stanowi tylko przystrojenie i podpięcie tiuniki. Przy bardzo wyciętym staniku, sznuzetka

powinna być plisowana z tiulu lub muslinu; także bufowane krótkie rękawki, przykryte trze na patkami z materyi.

desień odznaczały. Przy dobrym guście da się największa zażytkować różnorodność.

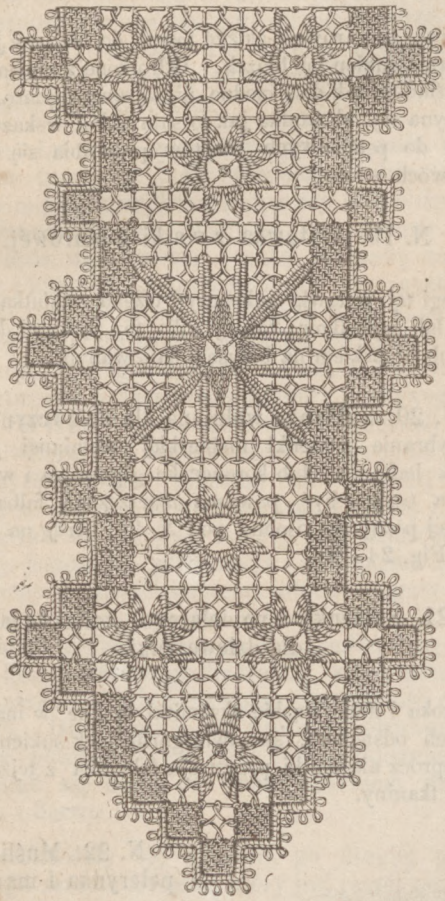
N. 15 — 16 Brzeżki szydełkowe. Robota poprzeczna.



N. 1. Kostium z układanymi muslinowymi falbankami. N. 2. Kostium deseniową taśmą przybrany. N. 3. Kostium ozdobiony haftem.



Tunika, stanik i szarfy na ryc. 24 oszyte kosztowną koronką „Bruges“. Fig. 25 przedstawia stanik, szelki i rękawki garnirowane rypsovą falbanką wyściętą w ząbki; a szarfy szeroka biała kaszmirowa frendzla.



N. 5. Barba z siatki gipsurowej do ubiorzków na głowę, krawatek i ozdoby sukien.

N. 1. Kostium z układanymi muslinowymi falbankami i jedwabnymi ruszami.

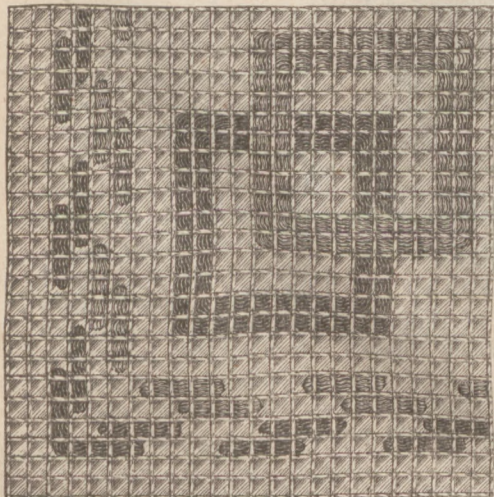
Gładka ziemi sięgająca spódnica, ma dwie szerokie układane z białego muslinu falbany, które kończą lekko fronsowane wycinane plisy jedwabne, atlasową przyciśniętą rolką, lub ruszą. Szeroka i gęsto układana podwójna rusza jedwabna nieco jaśniejszego lub ciemniejszego koloru, niemniej ładny garnirunek tworzy. Tunika (tunique blouse) szeroka paletosakową formą zrobiona obeścięta paskiem, takim samym garnirunkiem ubrane. Mała kokarda spina pasek w tyle. Z wysokim diademem kapelusz ma sutą przybór z czarnych koronek i długich gałęzi kwiatów.



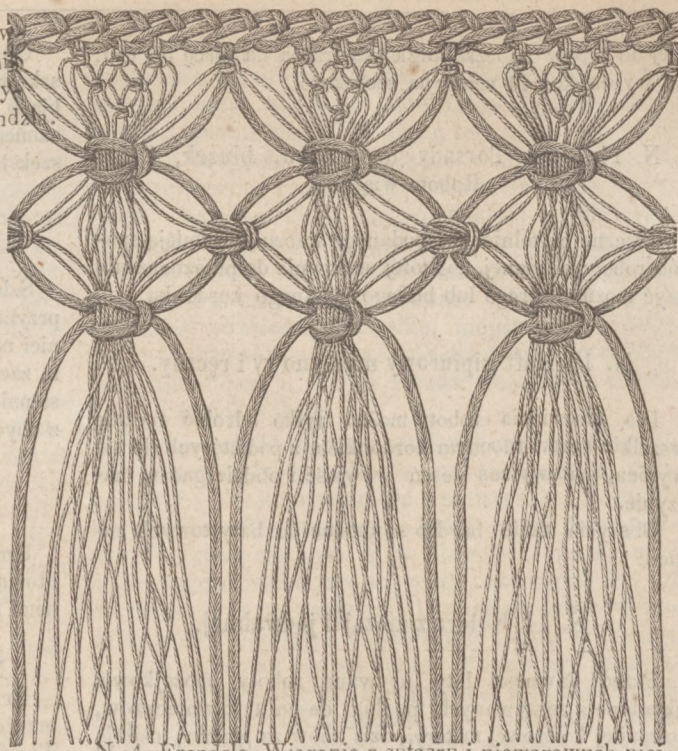
N. 7. Kokarda z frywolitowymi końcami.

N. 2. Kostium haftowanym paskiem lub deseniową taśmą przybrany.

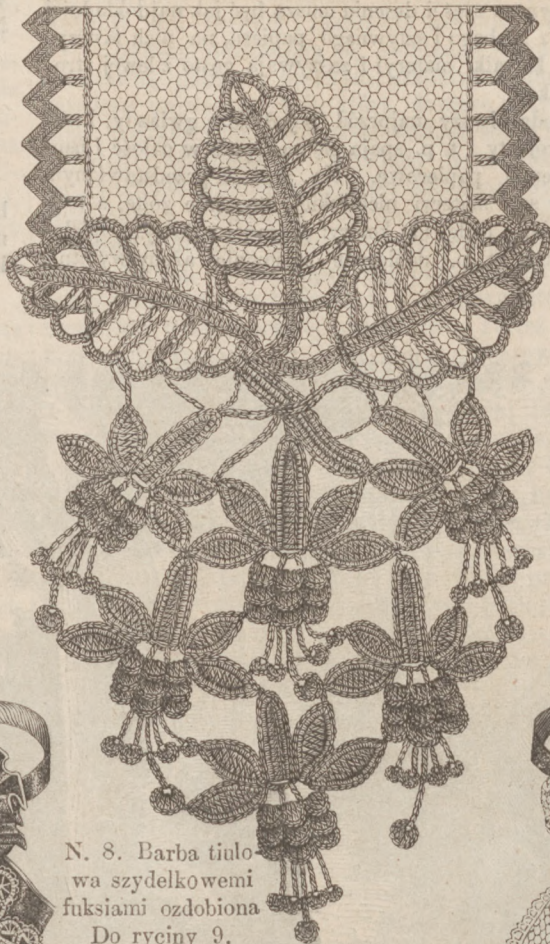
Kostium taki z popielatego, brązowego lub czarnego kaszmiru, szaliny cieniżej, alpaki albo innego miękkiego



N. 13. Deseń na materiale waflovym, na serwetki, podstawki i t. d.



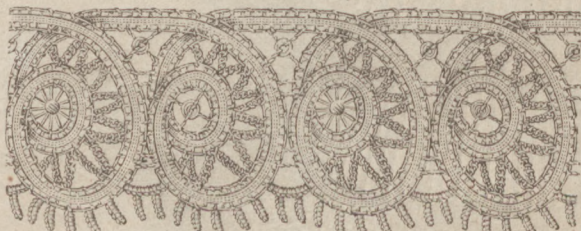
N. 4. Frendzla. Wiązanie z sutaszu i niewarowych nici.



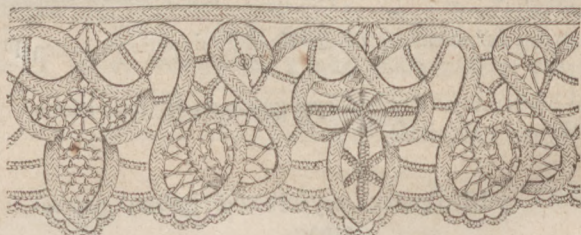
N. 8. Barba tiulowa z szydelkowymi fuksjami ozdobiona. Do ryciny 9.



N. 10. Kokarda do kołnierzyka ze wstążki i skośnej materji.



N. 11. Koronka angielska. Robota ręczna.

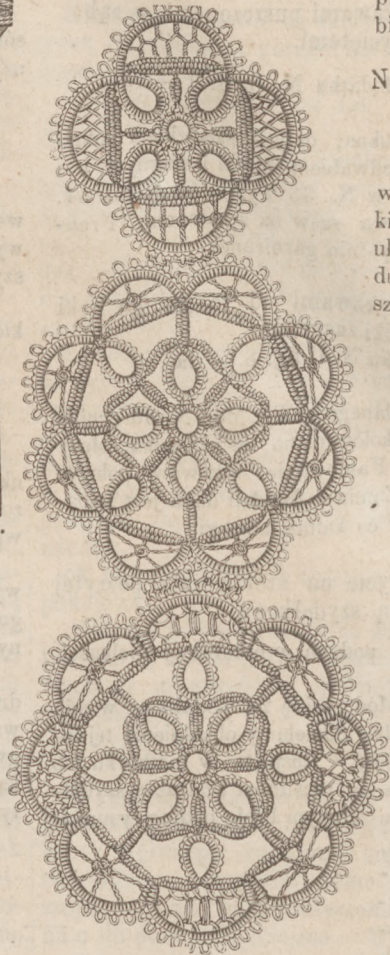


12. Koronka angielska. Robota ręczna.

materjału, ślicznie wygląda modnym tureckim galonkiem przybrany, lecz wówczas miejsce falbanki zwykle angorska lub jedwabna frendzla zastępuje. Wzory do haftu paska przydatne, niejednokrotnie plansze Tyg. Mód przedstawiały. Forma tuniki tak na kostiumie N. 1, jak i na N. 2 jedna i ta sama, dodaje się tylko mała pelerynka okrągła, a szeroki rękaw niżej łokcia w kontrafaldę ujęty, piękną kokardą jest ozdobiony.

N. 3 Kostium haftem i zdobny.

Kostium ma spódnice w zaprasowane głębokie faldy od góry do dołu ułożoną. Tunika z przodu z kwadratowego fartuszka a z tyłu z szerokiego i długiego bryta



N. 6. Barba z rozetek frywolitowych do czepeków, garniowania sukien i t. d.

utworzona, ma boki przyfaldowane, środek zaś w górę mocno podpięty, do kolan jest obdziergana i haftem czarnym i białym przybrana. Zwrócić należy uwagę na oryginalny fason rękawa zwany: Grigot, którego odmiana w kroju od zwykłego paletotowego na tem polega, że dolna część niżej łokcia bardzo się poszerza i głębokie faldy przy rękę tworzy.

N. 4. Frendzla. Wiązanie z sutaszu i niewarowych nici.

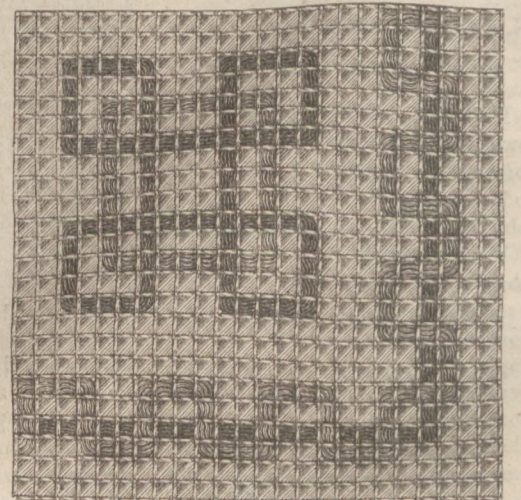
Do łańcuszka szydelkiem zrobionego z sutaszu zaciąga się odpowiedniej długości pojedyncze nitki i kawałki sutaszu, które kilkakrotnie wiąże się z sobą rozmaicie krzyżując i łącząc.

Frendzla taka przydatna jest do kolder i rolet. Z grubiej berlińskiej kordonkowej włóczki związana, ładne zakończenie stanowi do mebli, firanek welnianych, dywaników.

N. 9. Kokarda tiulowa do czarnej aksamitki na szyję.

N. 5. Barba z siatki gipsurowej. Na krawatki, do ubrania głowy lub ozdoby sukien.

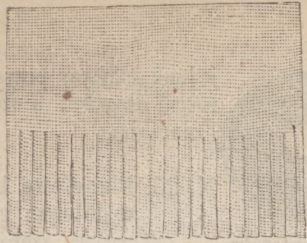
N. 6 — 7. Kokarda z frywolitów do krawatki. N. 6 przedstawia właściwego rozmiaru koniec barby



N. 14. Deseń na materiale waflovym na serwetki,



z trzech rozetek frywolitowym sposobem i koronkowym ścięciem wykonanych. Piękna ta i niezbyt mozolna robota może być zarówno z białych nici jak i z czarnego jedwabiu zrobiona, i służyć do ozdoby wielu przedmiotów w skład damskiej garderoby wchodzących.

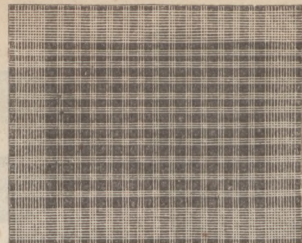


N. 15. Szarpie brzegiem wyciągnięte.

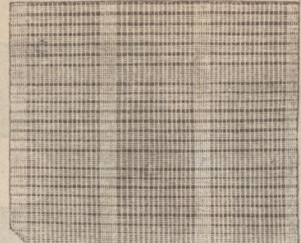
Do wydatnego na rycinie N. 6 środkowego kółka, dorabia się nasamprzód roboczą nitką same kółeczka, wolne niteczki łączące obrabiają sposobem znanym w siatkowej gipiurze na trzech nitkach en reprise, do których znowu przyczepiają się cztery kółeczka. Łuki zewnętrzne rozetki pomocniczą nitką się robią. Mniejsza rozetka składa się z czterech do środkowego kółka przyczepionych kółeczek, które zaraz w robocie, połączone są pomocniczą nitką z zewnętrznymi łukami. Wypełnienie łuków odrobione koronkowym ścięciem.

N. 8 — 9. Tiulowa kokarda (Marquis) brzegiem szydełkowymi fuksiami ozdobiona.

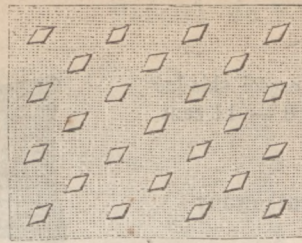
Kokardę tę zrobić można z tiulu lub muslinu, który się brzegiem szydełkiem obrabia i zębatą plecionką przyrabia albo koroneczką obszywa. Związanie kokardy N. 9 przedstawia. Szeroki na 7 do 8 cent. pas tiulowy lub muslinowy winien mieć 106 — 112 cent. długości.



N. 18. Kratkowane szarpie. Robotą ręczną.



N. 20. Materiał kratkowany fabryczny.



N. 22. Wycinane płótno pod masę.

Przez wierzch wypukłych krątek tego materiału, przesnuwa się desęń kolorową włóczką. Prosta robota bliższego objaśnienia nie wymaga. Jako serwetka materiał ten użyty, potrzebuje nie wzmocnienia przez przyszycie frendzelki.

N. 13 i 14 przedstawiają desenie dwoma kolorami snute, to jest pasową i czarną włóczką, barwy te zalecamy najbardziej, ponieważ obie doskonale się piorą.

Roboty kobiece do zaopatrywania szpitali i żołnierzy podczas wojny.

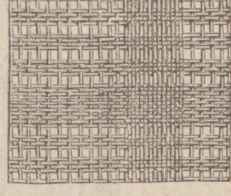
Obecna wojna wszędzie wcisnąć się musi, nawet do pism wyłączne dla kobiet przeznaczonych. Tą razą jednak szlachetne ją do tego skłaniają pobudki: miłość bliźniego, pragnienie niesienia mu ulgi i złagodzenia bólei często kończących się śmiercią. Ponieważ środki posługujące do tego, na nieszczęście wszędzie przydać się mogą, zwłaszcza dla większych naszych Czytelniczek, tych pierwszych lekarek domowej i wieśniaczej ludności, rysunki więc wybornych przyrządów, w jakie dziś szpitale dobrze urządzone, wszędzie są zaopatrzone, podajemy w dzisiejszym numerze naszego Tygodnika.



N. 19. Kratkowane szarpie.



N. 16. Długie

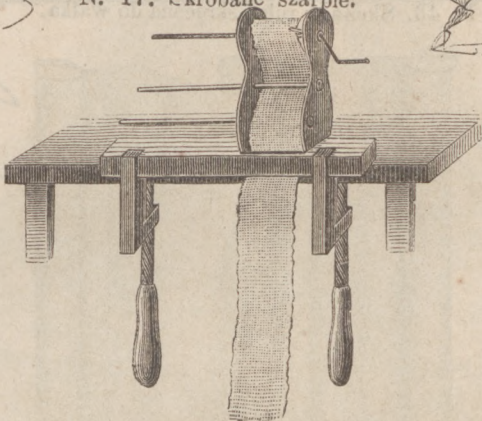


N. 21. Materiał kratkowany fabryczny szarpie.

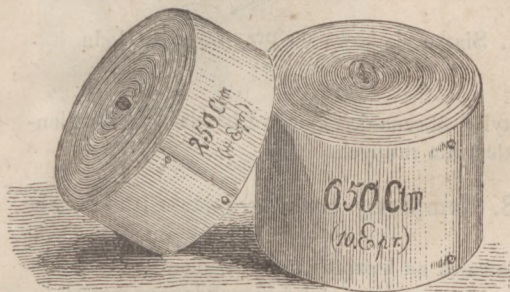


N. 17. Skrobane szarpie.

N. 15. Szarpie brzegiem wyciągnięte.



N. 23. Maszynka do zwijania bandaży.



N. 24. Bandaże lniane.



N. 25. Bandaże flanelowe.

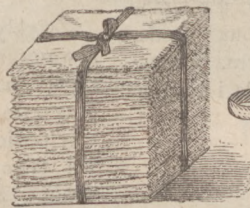
Najważniejszymi i najwięcej potrzebnymi są szarpie zwykłym i znanym wszystkim sposobem skubane, które

N. 10. Kokarda do kołnierzyka ze wstążki i skośnej materji.

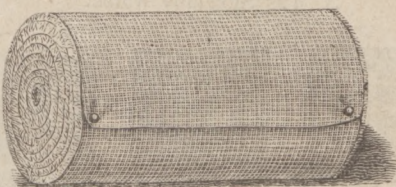
Z niebieskiej na 7 cent. szerokiej wstążki, krają się 12 cent. długie końce, które się w frendzelkę wysiepują, skos szarej na 6 cent. szerokiej materji rulonikiem obrębionej, drugie skośno ścięte końce tworzą. Pukle kokardy pod spodem niebieskie z wierzchu szare 1 cent. węższe od końcy, wstążką przepięte.

N. 11—12. Dwie koroneczki. Sposobem koronki angielskiej.

Do roboty tej używana jest cienka i wążuchna wstawka koronkowa lub płaska i cienka plecionka.



N. 27. Kompresy kwadratowe.



N. 26. Bandaż gipsowany.



N. 28. Kompresy podłużne.

się z kawałków płótna wielkości karty wyciąga, uważając ażeby nitki równo jedne na drugich układać. N. 15 przedstawia szarpie z kawałka płótna 3 cent. szerokiego, z różnej długości w frendzelkę wysiepanego, którem otacza się ranę do koła.

N. 16. Długie szarpie.

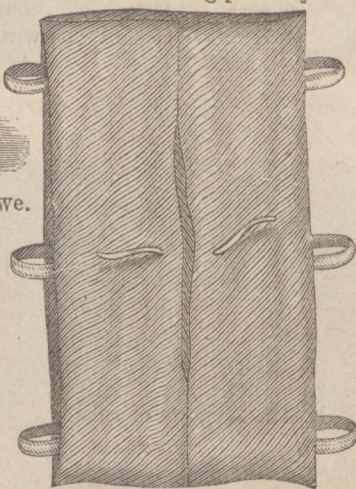
Z kawałka płótna 20 — 26 cent. dużego wyciągają się nitki, równo związując w pęczki wielkości małego palca, które potem z wielką łatwością z rany wyciągnąć można. Według zdania lekarzy i chirurgów, którzy mają praktykę w szpitalach daleko są one pożyteczniejsze do niektórych ran od zwykłych używanych szarpi, bo w czasie opatrywania chorego wyjmowanie ich mniej zadaje cierpienia.

N. 17. Skrobane szarpie.

Skubane szarpie lub na wet płótna kawałek skrobie się nożem, skąd powstaje delikatny puszek watę w miękkości przechodzącej.



N. 30. Wsyпка do plew owsianych lub szezki.



N. 29. Siennik z pęclicami.



N. 31. Wsyпка do włosia.

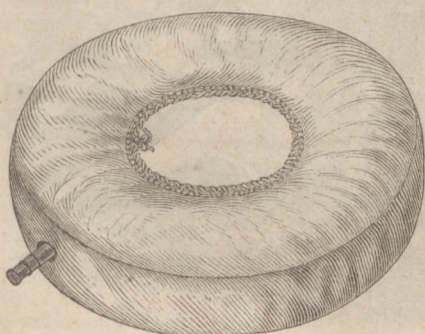


N. 32. Walek do nasypywania piaskiem.

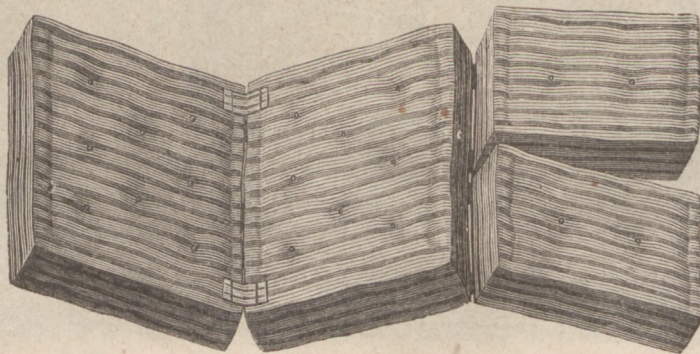
N. 18—19. Kratkowane szarpie.

Nudna ta robota, wybornie da się zastąpić kupnym materiałem kratkowanym fabrycznym. Szerokość ma-

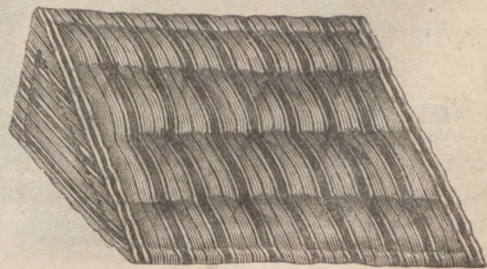
N. 13—14. Dwa desenie do wysnucia na wypukło kratkowanym materiale (wałowym zwanym). Na serwetki, nakrycia i t. p. przedmiota służyć mające.



N. 33. Powłoczka na poduszkę z kauczuku.



N. 34. Materac złożony z oddzielnych części.



N. 35. Materac kliniasty.



terjału pozwala go aż na 9 części składać i ciąć w płateczki mające od 8 — 11 cent. długości.

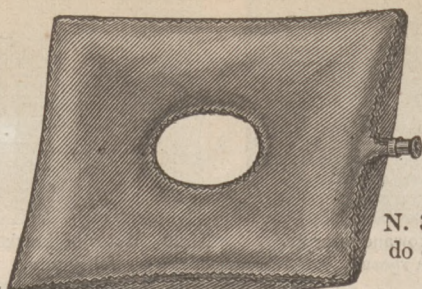
N. 20—21. Materiał kratkowany fabryczny.

N. 22. Wycinany kawałek płótna pod masę najstawniejszy.

Skośno złożone różnej wielkości, długości i szerokości kawałki starego płótna, dziurawi się wycinając nożyczkami. Dla pośpiechu w robocie można kilkanaście płatków razem wykłówać przedziurawić.

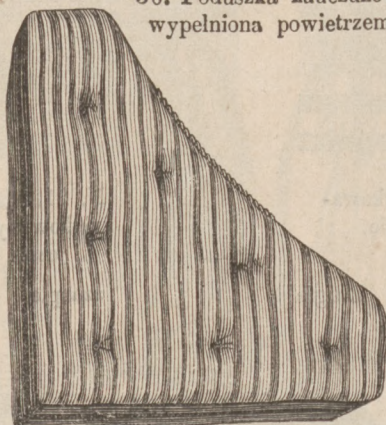
N. 23—26. Zwinięte bandaże.

Bandaże mogą być nie tylko lniane, bawełniane



N. 38. Okrągła poduszka do oparcia ręki chorego.

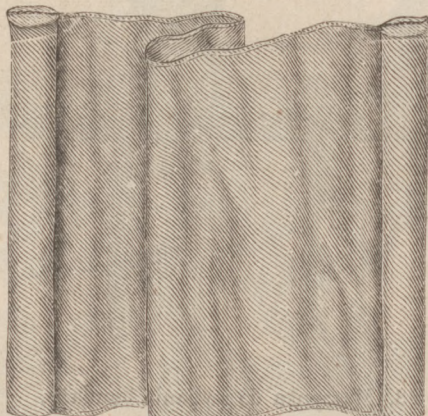
N. 36. Poduszka kauczukowa wypełniona powietrzem.



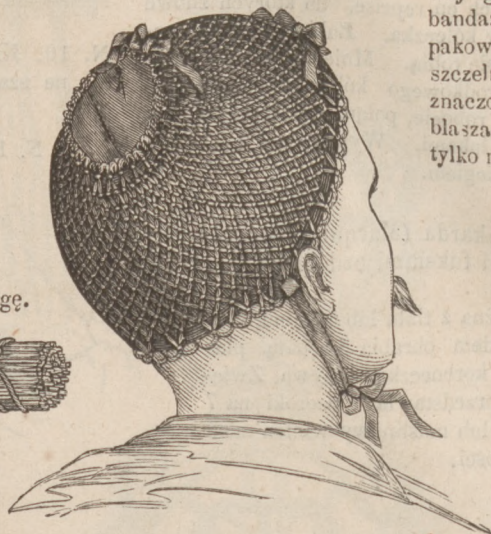
N. 39. Materacowa poduszka pod rękę lub nogę.



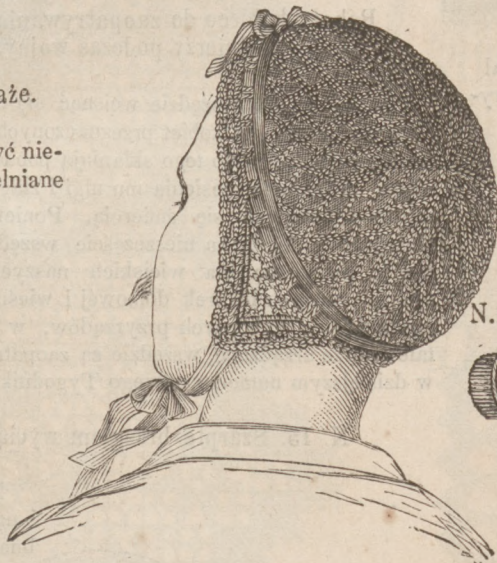
N. 43. Słoma w rulon skrócona do wałki.



N. 42. Słomiany wałek.



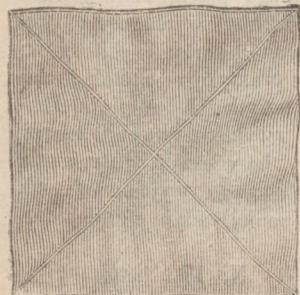
N. 41. Siatka siatkowa do przytrzymania lodu.



N. 40. Siatka szydełkowa do przytrzymania lodu na głowie.

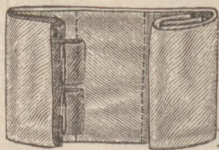
są również praktyczne, a z flaneli i gipsowanej gazy nieodzownej konieczności. Bandaże domowej roboty winny być krajane lub darte pod nitkę, bez żadnych obrębków i zeszyć. Miara długości i szerokości bandaży na łokcie i całe powinna być wyraźnie wiecznotrwałym atramentem wypisana; następnie bandaż zwinąć należy, że jednak robota zwiniania bandaży nie jest tak łatwą jak się zdaje z pozoru, bo go trzeba nadzwyczaj starannie, równo i ściśle nawijać, nader się okazała praktyczną, niekosztowną maszynką do zwiniania. N. 23 ją przedstawia, którą przysrubowuje się do stołu, i zakładając równo bandaż na jej walce, korbą kręci. Zwinięty i z pod maszyny uwolniony bandaż, spina się we dwóch rogach mocno śpilkami, uważając ażeby napis był na wierzchu.

N. 24. Bandaże fabryczne lub domowe lniane albo bawełniane.



N. 44. Kwadratowa chustka do obwiązywania ran. W razie potrzeby przeciąć ją można na cztery rogówki.

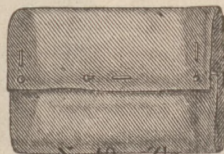
Wedle zdania chirurgów, długość jednych wynosić powinna 400, 550 i 650—700 cent. a szerokość 10 cent. rugie od 200 do 250 cent. długie na 4 i pół cent. szerokie być winny. Niektórzy



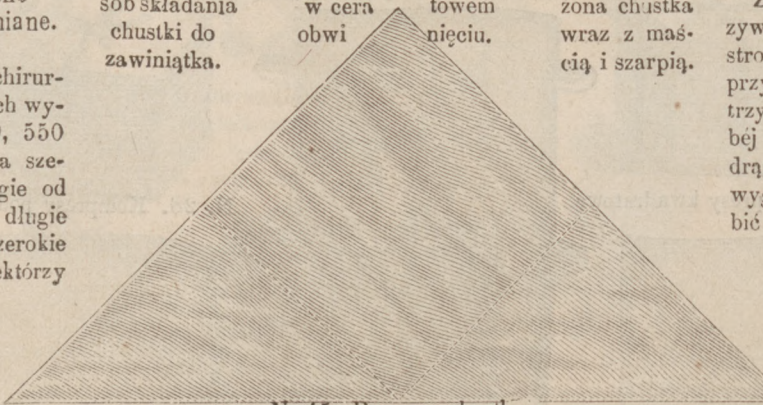
N. 47. Sposób składania chustki do zawiniątka.



N. 48. Płatek z maścią i szarpkami w cera towem obwinieciu.



N. 49. Złożona chustka wraz z maścią i szarpką.

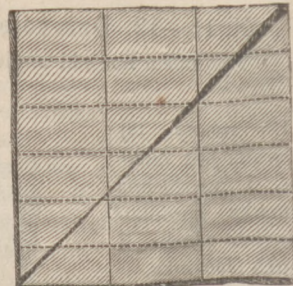


N. 45. Rogowa chustka.

Onuczki czyli kompresy do nóg w długich i uciążliwych marszach niesłychanie pożyteczne, mają od 50 do 55 cent. w kwadrat i mogą być zarówno płócienne, jak bawełniane, a nawet barchanowe.

N. 29. Siennik z pętlcami.

Zwykły siennik zeszyty na bokach a w środku związywany, ma z obu stron na bokach przyszyte mocno, po trzy pętlce z grubej taśmy, w które drągi założywszy wygodne nosze zrobić można.



N. 46. Sposób składania chustki, do zachowania w drodze.



N. 50. Zastowanie chustek na polu bitwy.